

Carla Cassidy
Różowe marzenia



PROLOG

Zastanów się dwa razy, nim czegoś zapragniesz... bo czasami życzenia się spełniają. Ta myśl nie odstępowała Melanie. Powracała uparcie, gdy dziewczyna drżącymi palcami wyjmowała z torby z zakupami test ciąży.

Sześć tygodni temu wypowiedziała swoje życzenie. Pragnęła zajść w ciążę i mieć dziecko. Bez względu na wszystko. A skoro w jej życiu do tej pory nie pojawił się ten wyśniony mężczyzna, postanowiła działać inaczej. Opracować sobie plan i zacząć go realizować.

Zaraz się wszystko wyjaśni. Trzy minuty, i będzie miała pewność. Być może jej modlitwy zostały wysłuchane. Tylko... tylko teraz już wcale nie była przekonana, czy nadal tak bardzo tego chce...

Jeśli jest w ciąży, straci mężczyznę, którego kocha. Jeśli nie jest, nadal będzie z nim mieszkać, lecz marzenie o dziecku nie spełni się.

Wyjęła test z opakowania. Gdyby tak można było cofnąć czas, odwołać wszystko! Niestety. Sama to wymyśliła, sama ustaliła reguły. Nie ma mowy, by się teraz wycofać. Za późno.

Czego teraz pragnie? Czego najbardziej by chciała? Nie warto się zastanawiać, to już bez znaczenia. Bez względu na wynik testu, coś straci.

- No cóż - wymamrotała do siebie. - Pora brać się do dzieła. Trzeba to zrobić. Zobaczymy, czy kolor zmieni się na różowy...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby zobaczyć go nago. Jego, czyli Baileya Jenkinsa, najlepszego przyjaciela i powiernika.

Od dobrych kilku tygodni codziennie po pracy spotykali się nad stawem, by trochę popływać. Dziś przyjechała nieco wcześniej niż zwykle. W szkole nie było lekcji. Nauczyciele spotykali się z rodzicami i indywidualnie rozmawiali z nimi o postępach dzieci. Melanie skończyła o drugiej. Kolejne spotkania miała zaplanowane na wieczór.

W szkolnej łaźni przebrała się w kostium i pojechała na ranczo Baileya.

Przed białym domem stał jego samochód. Pewnie jeszcze pracuje, domyśliła się. Od razu skierowała się do stodoły przerobionej na klinikę.

Bailey był jedynym weterynarzem w Foxrun. Nie narzekał na brak pracy. W zasadzie niemal zawsze można go było zastać w klinice. Jeśli akurat nie miał pacjenta, siedział przed komputerem, nadrabiając biurowe zaległości.

Zajrzała do biura. Ani żywej duszy. Nie zastanawiając się, ruszyła ścieżką wiodącą przez pastwisko, a prowadzącą do stawu, w którym od początku upalnego lata szukali ochłody.

Była już całkiem blisko, gdy dobiegł ją plusk wody. Nie widziała stawu, bo widok zasłaniały bujnie rozrośnięte krzaki jeżyn.

Okrzyknęła zbity gąszcz i naraz zatrzymała się jak wryta. Bailey stał na krawędzi drewnianego pomostu. Był odwrócony tyłem. Bez kąpielówek.

Popołudniowe słońce oblewało go ciepłym blaskiem. Szerokie, opalone bary, wąska talia, pięknie umięśnione pośladki i nogi. Dziewczyna gwałtownie nabrała powietrza, pośpiesznie cofnęła się w zarośla. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Właściwie zawsze wiedziała, że Bailey jest niczego sobie mężczyzną, ale nie uświadamiała sobie, że jest aż tak atrakcyjny.

Opamiętała się. Przecież to Bailey, stary, zaufany kumpel. Mogłaby z nim konie kraść. Znają się od dziecka. Zawsze był przy niej, zawsze mogła na niego liczyć. W każdej sytuacji, nawet najbardziej niezręcznej. To on ją ratował, gdy jako nastolatka po raz pierwszy spróbowała mocnego drinka.

Podtrzymał ją na duchu, gdy przed rokiem u mamy wykryto raka. Na szczęście w jej chorobie nastąpiła remisja.

Cóż, ten szok powinien być dla niej nauką. Bo to znaczy, że powinna patrzeć na wszystko bardziej realnie. Nie zapominać, że Bailey jest nie tylko najlepszym przyjacielem, ale również facetem. I to bardzo przystojnym facetem. Odetchnęła głębiej, by się uspokoić.

- Hej, Bailey! - zawołała. - Jesteś tam?
- Mellie... poczekaj sekundę - dobiegł ją głęboki głos Bailey'a. - Ogarne się tylko, żeby wyglądać przyzwoicie.
- Nigdy nie jesteś przyzwoity! - odrzyknęła, gorączkowo próbując zapomnieć o tym, co przed chwilą widziała. Zawsze się droczyli i przekomarzali, więc lepiej nadal się tego trzymać.
- No dobra - odezwał się. - Już możesz przyjść. Okrążyła zarośla i podeszła do stawu. Bailey stał na pomoście. Tym razem miał na sobie dżinsowe szorty.
- Jesteś dziś wcześniej - zagadnął, siadając na pomoście i zanurzając stopy w wodzie.
- Usiadła obok niego.
- Cóż, dzisiaj dzień spotkań z rodzicami. Na razie mam przerwę. Dopiero wieczorem przyjdzie kilka osób, które nie mogły wyrwać się z pracy.
- Czy on zawsze miał taką szeroką klatkę piersiową i te ciemne włoski na środku? Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważyła?
- To jak, miałaś okazję rozmówić się z matką Johnny'ego Andersona i pożalić się na jego zachowanie?
- Melanie zrobiła zasepioną minę.
- Tak, pogadałam z nią. Mówiłam jak do ściany. Według niej nie ma żadnego problemu, wszystko jest w porządku. Johnny ma po prostu duży temperament i rozpiera go energia. Żywe srebro.
- Bailey roześmiał się. Zobaczyła, jak w kącikach jego oczu powstają drobne zmarszczki.
- Powiedziałaś, że jej uroczy synek ma zadatki na niezłego łobuza?
- Melanie podciągnęła kolana pod brodę, objęła je ramionami. Celowo unikała patrzenia na Bailey'a.
- Johnny ma dopiero siedem lat. Jeszcze można go z tego wyprowadzić. Już postanowiłam, że zajmę się nim. Trudno, poświęcę trochę czasu, ale może będzie z tego jakiś pożytek. Nawet jeśli w przyszłym roku nie trafi do mojej klasy. Kącikiem oka dostrzegła, że Bailey pokiwał głową.
- Masz ogromną cierpliwość do tych urwisów, Mellie. Nie to, co ja. Będzie z ciebie wspaniała mama.
- Poczuła ukłucie bólu. Kiedy? - krzyczało w niej wszystko. Już mam dwadzieścia dziewięć lat. I nawet nie mam chłopaka.
- Chodźmy. - Bailey podniósł się z miejsca, podał jej rękę. - Wykapmy się. Trzeba się odprężyć po ciężkim dniu.
- Ściągnęła przyduży podkoszulek i wskoczyła za przyjacielem do stawu.

Przez dobrą godzinę nie wychodzili z wody. Niby było jak zwykle, lecz tym razem Melanie nie mogła się rozluźnić.

Odkąd ujrzała go nago, patrzyła na niego innymi oczami. Dopiero teraz widziała rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie dostrzegała. Złote refleksy słońca odbijające się w jego ciemnych włosach, dołeczek w policzku, kiedy się uśmiechał, zmysłowe usta.

Od drugiej klasy podstawówki byli nierozłączni. Tylko raz, już w liceum, przez krótką chwilę widziała w Baileyu chłopaka. Szybko jej to przeszło i nadal był dla niej po prostu Baileyem. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo jest atrakcyjny. A to spostrzeżenie dało asumpt do zaskakujących myśli...

- Och, super! - zamruczał Bailey, rozciągając się na pomoście.

- Uhm - potaknęła. Naciągnęła na siebie T-shirt. - A jak ci minął dzień?

- Okropnie - odparł bez namysłu. - Odkąd wybrali mnie na sędziego w naszym konkursie piękności, moje życie zamieniło się w koszmar.

Coroczny konkurs piękności był kulminacją lokalnych obchodów Święta Niepodległości.

- Koszmar! - Bailey obrócił się na bok, oparł twarz na łokciu. - Czy ty masz pojęcie, ile w tym mieście jest żadnych korony kandydatek na miss?. A ich matki są jeszcze bardziej nakręcone. Każda chce korony dla swojej córki. Nieważne, jakim sposobem. Moja lodówka pęka w szwach od podejrzanych zapiekank. Podesyłają mi je do domu, odkąd ogłoszono, że będę jurorem.

Melanie wybuchnęła śmiechem.

- No wiesz, co się tak użalasz? Osobiście wolę zjeść taką podejrzaną zapiekanke niż coś, co wyszło spod twojej ręki.

- Ha, ha, bardzo zabawne - mruknął i usiadł. - Mówię poważnie. Naprawdę zaczyna mnie to niepokoić. Dziś po południu przyszła do mnie Cindy Canfield ze swoim kotem. Mały Buffy jakoby cierpi na depresję. Przez pół godziny Cindy przekonywała mnie, dlaczego to jej należy się korona. Wczoraj wieczorem poszedłem po zakupy do samu. I tam wpadłem na Blanche Withers. Ale się od niej nasłuchałem!

Melanie zachichotała.

- Dziwisz się? Taki konkurs budzi wielkie emocje! Zresztą, nie chodzi tylko o tytuł i koronę. Podobno nagrodą jest samochód?

- Uhm. Różowy kabriolet, a do tego tysiące dolarów gotówką. Jest o co walczyć.

- W dodatku zeszłoroczna miss wylądowała w Hollywood - zamyśliła się Melanie. - Trafiła do agencji modelek, a niedawno wystąpiła w kilku reklamach.

- No właśnie. To dodatkowo podgrzewa atmosferę - potwierdził.

- Do konkursu jeszcze sporo czasu. Ponad miesiąc. Bailey jęknął głucho.

- Nie przypominaj mi. To prawdziwy horror. Naprawdę się boję, że w mojej sypialni już czeka jakaś panienka, by za pomocą swoich kobiecych wdzięków przekonać mnie, że to właśnie jej należy się korona. Że też ten Tanner Rotbman tak sprytnie się wymigał!

Początkowo jurorem miał być mieszkający po sąsiedzku z Baileyem Tanner, jednak jego kandydatura odpadła, gdy dwa tygodnie temu ożenił się.

- Spotkałam ostatnio jego żonę - rzekła Melanie. - Colette. Bardzo sympatyczna osoba. Niebawem otwiera butik z rzeczami dla dzieci. Adaptuje stary sklep z paszami dla zwierząt mieszczący się przy głównej ulicy.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że Tanner się ożenił. Miałem w nim bratnią duszę. - Bailey potrząsnął głową. - W przyszłym roku zgłoszę wniosek, żeby na sędziego wybierać nie kawalera, a żonatego.

Pomyśl, który zaczął kielkować jej w głowie, gdy ujrzała Bailey'a na golasa, nabierał coraz wyrazistszych kształtów.

- Szkoda, że nie jesteś żonaty. Nie dość, że i tak jesteś doskonałą partią, to teraz, jako sędzia, zyskałeś dodatkowy walor. Szatańska kombinacja.

- Nie dręcz mnie - prychnął. Sięgnął po zegarek leżący na pomoście. - Muszę wracać - rzekł. - Mam już umówionych kilku pacjentów.

Melanie kiwnęła głową. Podnieśli się i ruszyli ścieżką przez pastwisko. Daremnie próbowała skoncentrować się na tym, co ją otaczało. Na zapachu nagrzanego słońcem trawy i polnych kwiatów, na ciągnących się po horyzont połach. Nic z tego. Jej myśli nieodmiennie szybowwały w całkiem innym kierunku.

- Mam pomysł, jak rozwiązać problem rzucających się na ciebie panienek - powiedziała wreszcie, zdecydowana postawić sprawę jasno.

- To znaczy jaki?

- Ożeń się ze mną. Bailey parsknął.

- Jasne! Mam sobie zmarnować życie z powodu jednego bzdurnego konkursu piękności.

- Dzięki - odrzekła, mimowolnie czując się dotknięta.

Musiał usłyszeć coś w tonie głosu dziewczyny, bo zatrzymał się i ujął jej dłoń. Robił to tysiące razy, jednak teraz odebrała to inaczej niż zwykle. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Mellie, przecież wiesz, że wcale tak nie myślę - powiedział żarliwie, wbijając w nią niebieskie oczy. - Tylko tak chlapnąłem. Znasz mój pogląd na małżeństwo. Nigdy więcej.

- Puścił jej ręce i ruszył do przodu.

Zrównała się z nim.

- Ale to by było coś całkiem innego - przekonywała.

- Przede wszystkim nie na zawsze.

Zatrzymał się i popatrzył na nią ze zdumieniem.

- O czym ty mówisz?

- O czasowym małżeństwie opartym na obopólnej korzyści - odparła mężnie. Zastanawiała się w duchu, czy Bailey zdaje sobie sprawę, jak świetnie wygląda z wilgotnymi, odgarniętymi do tyłu włosami.

Wpatrywał się w nią jak w kogoś, kto nagle całkiem stracił rozum.

- Nie zamierzam nawet roztrząsać tego chorego pomysłu, ale może łaskawie mi powiesz, na czym by miała polegać ta obopólna korzyść.

- Ciebie to wybawi od nie przebierających w środkach kandydatek do korony. Jeśli się ożenisz, przestaną cię napastować. Żadna się nie ośmieli.

- A co ty będziesz z tego mieć? Zawahała się na мгновение.

- Zostaniemy małżeństwem do zakończenia konkursu i... dopóki nie dasz mi dziecka.

- Na litość boską, czyś ty zwariowała? - Odwrócił się i zaczął iść przed siebie. Melanie znowu musiała go gonić.

- To będzie małżeństwo tylko na krótki czas - upierała się. - Pobierzemy się jako przyjaciele i tak samo się rozstaniemy. Ty uwolnisz się od gotowych na wszystko panienek, a ja znajdę w ciąży.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Cały ten pomysł jest chory, od początku do końca. - Zatrzymali się przy jej samochodzie.

- Mellie, ja się do tego nie nadaję. Nie jestem odpowiednim facetem.

- Bailey, ale ty jesteś jedynym facetem w moim życiu - zaproponowała z przejęciem.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

- Jeszcze przyjdzie na ciebie czas, zobaczysz. Znajdziesz odpowiedniego mężczyznę, wyjdiesz za niego, będziesz mieć gromadkę dzieci. Tylko musisz cierpliwie poczekać.

- Nie mam na to czasu - zripostowała. - A co do facetów, jacy mi się trafiają, to sam wiesz najlepiej. Nic naprawdę ciekawego.

- Bo może masz za duże wymagania.
 - Bailey, przemyśl to jeszcze. - Dla niej ten pomysł był po prostu genialny. - Chciałabym, by moja mama zdążyła poznać moje dziecko.

Zaniepokoił się natychmiast.

- Coś z nią nie tak? Ma nawrót choroby?

- Nie, ale sam wiesz, że w tych sprawach nie ma nic pewnego. I wiesz, jak marzę o dziecku. Proszę, pomyśl o moim planie. Jesteś moim najlepszym kumpłem. Chyba możesz to dla mnie zrobić?

Nie mógł się otrząsnąć. Był w szoku. Popatrzył na piegowatą buzię Melanie. Zna ją przecież od dziecka, i nagle objawia mu się jako ktoś, o kim niewiele mógłby powiedzieć.

- Mellie, mówiłem ci, że po tym, co przeżyłem ze Stephanie, poprzysiągłem sobie, że już nigdy się nie ożenię.

Bagatelizująco machnęła ręką.

- Stephanie zależało tylko na społecznym awansie. W ogóle do ciebie nie pasowała, w żadnej mierze.

Bailey uśmiechnął się.

- Pod tym względem oboje się zgadzamy. - Spochmurniał lekko, bo Melanie nie odwzajemniła uśmiechu.

- To będzie małżeństwo na krótką metę - powtórzyła. - Potem niczego nie będę od ciebie chciała, obiecuję. Daj mi tylko dziecko, nic więcej.

Dotknął dłonią policzka dziewczyny.

- Melanie, przecież wiesz, że wszystko dla ciebie zrobię.

Pamiętasz, jak w piątej klasie pobiłem Harleya Raymonda, bo źle się o tobie wyraził? Uśmiechnęła się leciutko.

- Z tego, co pamiętam, to on spuścił ci manto. Bailey zaśmiał się wesoło.

- Może i tak, ale to nie zmienia faktu, że wystąpiłem w obronie twojej czci. Nic nie mówiłem, gdy kazałaś mi wystroić się jak małpa i iść z tobą na bal maturalny. Dla ciebie jestem gotów na wszystko... z wyjątkiem tego. - Opuścił rękę.

Melanie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Bailey odetchnął, widząc ten znajomy, figlarny uśmiech.

- To była tylko propozycja - rzekła pogodnie. Kamień spadł mu z serca. Znow było tak jak zawsze.

- Co będziesz robić wieczorem? - zapytał. Skrzywiła się zabawnie.

- Mniej więcej do ósmej będę na spotkaniach z rodzicami. Potem chyba zabiorę się za wystawianie końcowych ocen; rok szkolny zaraz się kończy. A ty?

- Spróbuję któreś z tych zapiekaneek i pójdę wcześniej spać. Na siódmą rano mam zaplanowaną operację.

- Może wybierzemy się jutro do kina? - zaproponowała. Piątkowe wieczory zwykle spędzali razem. Chodzili do miejscowego kina albo na kolację.

- Albo pożyczę kasetę, zrobię popcorn i zaproszę cię do siebie.

Melanie skinęła głową i otworzyła drzwiczki auta.

- Świetnie. To co, koło siódmej?

- Uhm - potwierdził, przyglądając się, jak wsiada do samochodu. Popołudniowe słońce zalśniło w jej długich, kręconych włosach.

Pomachał na pożegnanie i uśmiechnął się, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód. Potem wsunął ręce w kieszenie, zamyślił się.

Skąd u Melanie ten niedorzeczny pomysł? - zastanawiał się, ruszając w kierunku stodoły, by zrobić wieczorny obchód pacjentów.

Ani jemu, ani jej nie układało się w miłości. Za to ich przyjaźń mogła służyć za wzór. Ta przyjaźń zbyt wiele dla niego znaczy, by odważył się narazić ją na ryzyko. Zwłaszcza ryzyko małżeństwa.

Jeszcze przed chwilą bez wahania dałby głowę, że ze wszystkich znanych mu osób Melanie Watters jest najbardziej rozważną i pewnie stojącą na ziemi. Jest inteligentna, bystra, kieruje się racjonalnymi pobudkami. Ale tak myślał, nim usłyszał o zwariowanym małżeńskim pomysle.

Pod koniec roku Mellie skończy trzydzieści lat. Może dlatego tak bardzo pragnie dziecka?

Zamknął klinikę i wszedł do domu. Rzadko korzystał z przestronnej wygodnej kuchni. Jako zagorzały kawaler zwykle poprzestawał na gotowych daniach podgrzewanych w mikrofalówce. Albo jadł na mieście.

Czasem wpadała mama, by mu coś podrzucić. Albo Melanie litowała się nad nim i pichciła mu domowe jedzenie.

Przeszła mu ochota na kolację. Marzył o gorącym prysznicu. Prysznic, a potem zimne piwo.

Nie przesadzał, żaląc się Melanie, że miał fatalny dzień. Dobijały go pełne podtekstów rozmówki z matkami kandydatek na miss. Jakby tego było mało, musiał dziś uśpić ukochanego psa dobrego znajomego.

Wszedł do sypialni. Ściągnął buty i poszedł do łazienki.

Rzucił do kosza wilgotne szorty, wziął z bielizniarki świeży ręcznik i otworzył drzwi kabiny. Niemal krzyknął.

Ciemnowłosa kobieta w stroju Ewy uśmiechała się do niego promiennie.

- Cześć, Bailey! Nie chcesz, żebym umyła ci plecy?

- Boże, SueEllen, co ty tu robisz?

W pierwszej chwili był tak zaskoczony, że nie bardzo wiedział, czy okryć się ręcznikiem, czy dać go dziewczynie. Owinął nim biodra i pośpiesznie rzucił jej drugi ręcznik. SueEllen wdzięcznym ruchem machnęła ręcznikiem w bok.

- Chciałabym ci zademonstrować te moje zalety, których nie mogę zaprezentować podczas konkursu.

Bailey jęknął głucho i odwrócił się do niej tyłem.

- Wyjdź spod prysznica i ubierz się. Co by twoja mama na to powiedziała?

- Mama bardzo chce, żebym zdobyła koronę.

Jęknął powtórnie. Wyszedł z łazienki, wyciągnął z komody dzinsy i poszedł do salonu. Ubrał się pośpiesznie.

Chwilę później na progu pojawiła się SueEllen. Odetchnął z ulgą, widząc, że tym razem była w letniej sukience. Tylko kilka rozpiętych guziczków odsłaniało kuszący dekolt.

- Zawsze miałam do ciebie słabość - odezwała się zmysłowym głosem robiąc kilka kroków w jego stronę.

Czy wszystkie dziewczyny startujące w konkursie zupełnie oszalały? Może to coś w powietrzu, może wpływ Księżycy i gwiazd? Pośpiesznie się cofnął.

- Pochlebiasz mi, SueEllen, ale, niestety, musisz zaraz stąd wyjść - powiedział. - Nie możesz tu zostać.

- Dlaczego? Co w tym złego? Oboje jesteśmy dorośli. Jesteśmy też wolni i bez zobowiązań.

- Ja nie - oświadczył. Zatrzymała się w pół kroku.

- Ty nie? Jak mam to rozumieć?

Ciągle miał w uszach niedawną rozmowę z Mellie. Teraz rozpaczliwie uchwycił się tego jak tonący brzytwy.

- Nie jestem wolny... to znaczy, że właśnie oświadczyłem się Melanie Watters.

Zmroziło ją. Szybko sięgnęła do guzików, zaczęła je zapinać.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Gdybym wiedziała, że jesteś zaręczony, nigdy bym się tu nie pokazała. Mam swoje zasady.

Odrzuciła głowę w tył i z godnością ruszyła do drzwi. Zatrzymała się na samym progu.

- Mam nadzieję, że nie wykorzystasz tego przeciwko mnie podczas konkursu. Mówiłam szczerze, że zawsze miałam do ciebie słabość. - Uśmiechnęła się. - Teraz tylko się upewniłam, jak bardzo jesteś atrakcyjny.

Poczuł, że oblewa się rumieńcem. Na szczęście SueEllen nie oczekiwała odpowiedzi. Machnęła dłonią na pożegnanie i zniknęła za drzwiami.

Opadł na kanapę. Serce biło mu jak szalone. Opowiadał Melanie, że boi się znaleźć w łóżku napalone panienki. To miały być tylko żarty. Przez myśl mu nie przeszło, że pod prysznicem czeka na niego zmysłowa SueEllen, goła jak ją Pan Bóg stworzył.

Prysznic. No właśnie! Podniósł się z kanapy, starannie pozamykał zamki i poszedł do łazienki.

Dopiero stojąc pod gorącym strumieniem, uświadomił sobie, co najlepszego zrobił. SueEllen i jej matka to dwie największe plotkary w całym Foxrun. I komuś takiemu powiedział, że zaręczył się z Melanie.

Pośpiesznie zakręcił kran i, jeszcze mokry, szybko zaczął nakładać dżinsy i koszulkę. Musi jak najszybciej zobaczyć się z Mellie. Powiedzieć jej to sam, nim dotrą do niej plotki.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Przytulny budynek z czerwonej cegły, w którym mieściła się szkoła podstawowa, znajdował się w pobliżu głównej ulicy. Melanie była wychowawczynią drugiej klasy. W szkole czuła się niemal jak w domu.

Weszła do sali, popatrzyła na kolorowe rysunki i klasową gazetkę. Miło było znów poczuć znajomy zapach kredy. Usiadła za biurkiem. Aż się nie chce wierzyć, że do końca roku zostało mniej niż tydzień. Trzeba będzie pozdejnować te dekoracje, powiesić je dopiero po wakacjach.

Dwa razy w roku nauczyciele indywidualnie rozmawiali z rodzicami swoich uczniów. Pierwszy raz przed Bożym Narodzeniem, gdy już można było rzeczowo ocenić pupila i wspólnie ustalić, na co należy zwrócić szczególną uwagę. Pod koniec roku omawiano postępy i podsuwano rodzicom wskazówki, nad czym powinni z dzieckiem popracować.

Melanie zerknęła na zegarek. Zaraz powinni pojawić się rodzice Becky. Ucieszą się, że ich córeczka tak dobrze się uczy. Becky to pogodna i bystra dziewczynka.

Przygotowała notatki i usiadła wygodniej. Daremnie odsuwała od siebie myśli o Baileyu. Po co się wyrwała z tym zwariowanym pomysłem?

Za nic nie chciała nadszarpnąć ich wieloletniej przyjaźni.

Z wyjątkiem krótkiego czasu, gdy Bailey poznał, a potem poślubił piękną Stephanie, spotykali się niemal codziennie.

Czy ten pomysł naprawdę jest taki idiotyczny? Gdy się nad tym spokojnie zastanowić... W Foxrun nie ma żadnego chłopaka, na widok którego serce biłoby jej szybciej. I prawdą jest, że chciałaby ucieszyć mamę potomkiem.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że ich przyjaźń wytrzyma taką próbę. Ma przecież do Bailey'a pełne zaufanie.

Uśmiechnęła się. Na progu pojawili się rodzice Becky, więc szybko wzięła się w garść. Po piętnastu minutach rozmowa została zakończona. Z promiennymi minami dumni rodzice wyszli z sali.

Znowu popatrzyła na zegarek. Do kolejnego spotkania pozostał kwadrans. Wstała i ruszyła do wyjścia. W sali gimnastycznej serwowano kawę i ciasteczka. Filiżanka kawy dobrze jej zrobi.

W sali kłębił się tłum. W powietrzu unosił się aromat kawy i świeżo upieczonego ciasta. Melanie napełniła kubeczek, wzięła ciasteczko i z powrotem skierowała się do swojej klasy.

Już wychodziła z sali, gdy tuż przy niej wyrosła Kathy Milsap, również nauczycielka i dobra koleżanka Melanie.

- Wszędzie cię szukałam! - wykrzyknęła, chwytając ją za ramię i wyciągając na korytarz. - Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - Wpatrywała się w nią żarliwie. - Myślałam, że jestem twoją przyjaciółką.

- Oczywiście, że jesteś. Ale czego właściwie ci nie powiedziałam? - zapytała, nie kryjąc ciekawości i zatapiając zęby w smakowitym ciasteczku.

- Że ty i Bailey jesteście zaręczeni!

Z wrażenia Melanie omal się nie udławiła. Pośpiesznie upiła łyk kawy. Popatrzyła na przyjaciółkę ze zdumieniem.

- Kto ci to powiedział? - wydusiła z niedowierzaniem.

- Usłyszałam o tym od Teri, a ona dowiedziała się od Kristy, która wie od SueEllen. Spotkały się w drogerii. - Oczy Kathy błyszczały radośnie. - No, to mów, kiedy ślub? Od razu ci zapowiadam, że urządzę imprezę z tej okazji! Och, ale się cieszę! Twój rodzice pewnie są wniebowzięci.

Melanie wirowało w głowie. Wyciągnęła rękę, by uciszyć rozentuzjzowaną Kathy.

- Za dwie minuty mam spotkanie z rodzicami. Później o tym pogadamy.

Szybko weszła do swojej klasy, usiadła za biurkiem. Ciągle jeszcze nie mogła się otrząsnąć. Co podkusiło SueEllen, by opowiadać ludziom takie bzdury? Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nieraz już tak bywało, zwłaszcza że w Foxrun działo się tak niewiele.

Koniecznien musi jak najszybciej pogadać z Baileyem. Nim plotka do niego dotrze. Jeszcze gotów sobie pomyśleć, ie to jej robota.

Chociaż nie, jest niesprawiedliwa. Bailey za dobrze ją znał, by mógł powziąć takie podejrzenia. Dobrze wie, że ona zawsze gra w otwarte karty.

Teraz żałowała, że nie ma komórki. Bardzo by się przydała. A zawsze uważała to urządzenie za niepotrzebną ekstrawagancję.

Jak by go złapać? Może zdąży pobiec do sekretariatu i stamtąd do niego zadzwonić? Ledwie to pomyślała, do sali weszli rodzice kolejnego ucznia.

Ostatnie spotkanie skończyło się o wpół do dziewiątej. Melanie wyszła ze szkoły i szybkim krokiem ruszyła do samochodu. Musi jak najszybciej skontaktować się z Baileyem. Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się spłoszona. Za nią stał Bailey.

- Ale mnie przestraszyłeś! - zawołała. - A ja właśnie się do ciebie wybierałam.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Może wstąpimy na kawę do baru, Millie? - zaproponował.

Melanie kiwnęła głową. Ruszyli ulicą. Jak zwykle musiała wyciągać nogi, by nie pozostawać w tyle. Zgrabne, muskularne nogi, szczupła talia, zauważyła mimo woli. Naprawdę niczego sobie.

- Dotarły już do ciebie ostatnie plotki? - zagadnęła.
- Jeśli są zgodne z tym, co podejrzewam, to chyba sam je zainspirowałem.
- Słucham? - Aż przystanąła z wrażenia.
- Chodź, zaraz ci wszystko wytłumaczę. - Ujął ją za ramię i pociągnął do restauracji.

Zadzwęczał dzwonek oznajmiający ich wejście. W środku panowała ciepła, zachęcająca do relaksu atmosfera. Było już dość późno i większość stolików stała pusta.

Bailey poprowadził ją do łoży w odległej części sali. Zwykle tu spotykały się na kolacjach. Niemal natychmiast jak spod ziemi wyrosła Samantha, nastoletnia córka szeryfa.

- Dla mnie kawa - rzekł Bailey.
- Ja poproszę to samo - zawtórowała Melanie. - No, to zaczynaj - niecierpliwiła się, odczekawszy tylko, aż Samantha oddali się od ich stolika.

Bailey przesunął palcami po włosach.

- Pamiętasz, jak ci dziś powiedziałem, że boję się, by nie znaleźć w łóżku gołej panienki kandydującej na miss?

Oczy Melanie zrobiły się wielkie jak spodki.

- No nie... chyba nie powiesz mi, że... Która?
- SueEllen Trexlor. Tylko nie była w łóżku, a czekała na mnie pod prysznicem.

- Goła?

- Jak ją Bóg stworzył.

Umilkli, bo Samantha właśnie postawiła przed nimi filiżanki z kawą. Odczekali, by odeszła. Melanie zakryła dłonią usta, by powstrzymać uśmiech.

- Opowiedz mi wszystko.
- To wcale nie jest śmieszne - z ponurą miną podjął Bailey. - Znalazłem się w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Starła się zachować powagę.

- Co było dalej?

Bailey spochmurniał, zacisnął dłonie na filiżance.

- Kiedy wchodziłem pod prysznic, jeszcze miałem w głowie ten twój zwariowany plan. Zobaczyłem SueEllen i spanikowałem. Powiedziałem jej, że jestem zaręczony. - Niebieski podkoszulek podkreślał błękit jego oczu. Patrzył na Melanie z napięciem. - A ty od kogo się dowiedziałas?

- Od Kathy Milsap. Podobno SueEllen powiedziała o tym Kristy, ta szepnęła Teri, a Teri wygadała się przed Kathy. - Wzruszyła ramionami. - Wiesz, jak tu rozchodzą się plotki.

- Niestety, wiem aż za dobrze - odparł z nieszczęśliwą miną.

- Bailey, głowa do góry! - obruszyła się. - To jeszcze nie koniec świata. Ja widzę dwa wyjścia: powiesz wszem i wobec, że skłamałeś, albo weźmiemy ślub i postąpimy zgodnie z moim planem.

Sposępniał jeszcze bardziej, wbił wzrok w filizankę. Czekwała cierpliwie, doskonale wiedząc, że Bailey musi sobie wszystko spokojnie przemyśleć.

Upiła trochę kawy. Starła się nie zauważać, jak długie są jego ciemne rzęsy.

Kiedyś, przez krótki okres w liceum, była w nim zadurzona. Zagrały hormony, może coś jeszcze. W każdym razie zobaczyła w nim kogoś więcej niż dobrego kumpla. Nie spała po nocach, wyobrażając sobie, jak to by było, gdyby ją pocałował. Marzyła, by połączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Zastanawiała się, co by czuła, gdyby Bailey przytulił ją. Nagle dostrzegła jego mocne dłonie, poczuła zapach, zatęskniła za jego dotykiem.

Wtedy Bailey zaczął chodzić z Marlie Walker. Marlie miała czym oddychać i mówiono o niej, że w sprawach męsko-damskich jest bardzo szybka.

To otworzyło jej oczy. Zrozumiała, że nigdy nie była i nie będzie w jego typie, że jedyne, co może ich łączyć, to przyjaźń. Zauroczenie minęło i znowu było jak dawniej. Nie wyobrażała sobie, by to się mogło zmienić.

Jedyne, czego teraz od niego oczekuje, to przyjaźń i dziecko. Marzy o dziecku, wręcz czuje w powietrzu zapach dziecinniej zasyпки. Tak bardzo by chciała, by przysłał na jej plan!

- Jest trzecie wyjście - odezwał się Bailey, przywołując ją do rzeczywistości. Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie. - Pozostaniemy zaręczeni do czasu rozstrzygnięcia konkursu. To mnie uchroni przed zakusami rozpalonych kandydatek. Potem ogłosimy, że zaręczyny zostały zerwane.

- Wybij to sobie z głowy— oświadczyła ze złością. - Nie ma mowy. Oboje musimy coś z tego mieć. Skoro ja będę bronić cię przed hordą rozwyrzonych panienek, to ty przynajmniej ozeń się ze mną i zrób mi dziecko.

Znał to jej płonące spojrzenie. Zawzięła się nie na żarty. Tak samo wyglądała, gdy na początku liceum postanowiła wystartować w wyborach na szkolnego starostę. Przeciwko Rogerowi Wayfieldowi, gwiazdzie futbolu.

Daremnie odwoził ją od tego pomysłu. Chciał oszczędzić jej porażki. Jednak Mellie z takim zaangażowaniem wdała się w kampanię wyborczą, że dopięła swego. Niemożliwe stało się rzeczywistością.

- Mellie, spójrz na sprawę spokojnie - starał się przemówić jej do rozsądku. - Przez te półtora miesiąca możemy poudawać, że jesteśmy zaręczeni. To mi pomoże przeżyć ten gorący czas, a po sześciu tygodniach będzie po wszystkim. I nikt nie ucierpi.

- Będzie dokładnie tak samo, jeśli się pobierzemy - powiedziała z uporem. Widział, że nie da się zbić z tropu. - Bailey, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Rozwód to naprawdę drobna rzecz w porównaniu z głębią naszej przyjaźni. Małżeństwo na niby niczego nie zmieni.

- Przecież wiesz, że postanowiłem już nigdy się nie ożenić - przypomniał jej. - I zdecydowanie nie chcę mieć dziecka.

Owijąła na palcu pasmo lśniących miedzianych włosów. Widział, że jest zdenerwowana.

- Właśnie dlatego doskonale nadajesz się do tej roli. Wiem, że nie chcesz dziecka. Nie widzisz siebie jako ojca.

I bardzo dobrze. Jestem w stanie samodzielnie je wychować. Zrozum, to nie będzie prawdziwe małżeństwo. Między nami nic, zupełnie nic, się nie zmieni. Jedynie... - wbiła wzrok w resztkę kawy na dnie filiżanki - musi dojść do bardziej intymnych kontaktów, żebym zaszła w ciążę.

Bailey spochmurniał, popatrzył w filiżankę, podniósł wzrok na dziewczynę.

- Mellie, wiem, jak bardzo pragniesz dziecka, ale to nie jest rozwiązanie - powiedział łagodnie.

- Pomyśl tylko, jak się ucieszy twoja mama - podsunęła. Pokiwał znacząco głową.

- To cios poniżej pasa - rzekł. Melanie doskonale zna jego sytuację. I dobrze wie, że matka bezustannie mu powtarza, że powinien ponownie się ożenić i dać jej wnuka.

- No dobrze, wygrałeś. Zapomnij o tym.

Popatrzył na nią podejrzliwie. Coś za łatwo się poddała.

- Jak mam to rozumieć?

- Tak jak powiedziałam. Zapomnijmy o całej sprawie. Oświadczymy zgodnie, że SueEllen wyciągnęła błędne wnioski i wcale nie jesteśmy zaręczeni. A ja pomyślę o innym rozwiązaniu, by dopiąć swego.

- O czym ty mówisz?

Zapatrzyła się w jakiś punkt na ścianie ponad jego głową.

- Bailey, chcę mieć dziecko. - Zielone oczy znów zapłonęły. - Mam już dość bycia ukochaną ciocią dla siostrzenic i siostrzeńców. Jestem niezależna finansowo i psychicznie gotowa na zostanie mamą. Na pewno znajdzie się ktoś, kto zechce być, powiedzmy, dawcą nasienia.

- Na przykład kto? Wiesz, aż nie wierzę, że rozmawiamy o czymś takim.

- Dlaczego jesteś zaskoczony? Przecież od miesiący mówię, jak bardzo chcę mieć dziecko.

- Mówisz o tym, to prawda. Ale myślałem, że na tej samej zasadzie jak ja mówię, że chciałbym mieć jaguara. Jasne, że fajnie byłoby mieć taki samochód, jednak na razie to zupełnie nie wchodzi w grę.

- Ale moje marzenie jest jak najbardziej realne - zaproponowała. - Problem jest tylko jeden: muszę zdecydować, z kim się przespać.

- Ciekawe. Fred Ketchum ma na ciebie oko. Prześpij się z nim, a twoje dziecko będzie wyglądać jak wilkołak.

Melanie roześmiała się.

- Nie czepiaj się, Fred jest w porządku. To nie jego wina, że jest taki owłosiony. Ale masz rację. Chyba bym nie chciała, żeby moje dziecko miało jego DNA. - Upiła łyk kawy.

- Ale na przykład taki Buck Walton? Z pewnością nie będzie mieć oporów, by zabawić się ze mną na sianie.

- Pewnie. A ty tylko marzysz o jego, DNA - sucho zareplikował Bailey. - Jeśli dziecko wrodzi się w ojca, to w wieku dwóch lat zacznie pociągać piwo i wszystkich zaskoczy bogactwem słownictwa ograniczonego do wyrazu złożonego z czterech liter.

- Czemu masz takie negatywne nastawienie? - zdenerwowała się.

- A czemu ty tak się upierasz? - odparował. Dyskusja, z kim powinna się przespać, irytowała go coraz bardziej.

Przebierała palcami po kosmyku włosów. Znał ten gest

- Mellie próbuje się skoncentrować.

- Bailey, oboje dobrze wiemy, jak to jest, gdy się ma starszych rodziców.

Kiwnął głową. Przez lata ubolewali, że ich rodzice są znacznie starsi od rodziców innych dzieci.

- Nie mogę w nieskończoność czekać na prawdziwą miłość, a potem ewentualnie na ślub i dziecko. Nie chcę, by moje dziecko miało mamę-emerytkę.

- Czy twoja siostra znowu spodziewa się dziecka?

Melanie zarumieniała się lekko. Wszystko było jasne. Linda, młodsza siostra Melanie, co rok rodziła kolejne dziecko. Miała już trójkę.

- Owszem, ale to nie ma nic wspólnego z moją decyzją - skwitowała cierpko.

Nie musiała mu więcej mówić. Doskonale wiedział, że każde pojawiające się w rodzinie dziecko dokładało Melanie nowych wątpliwości i potęgowało pragnienie, by wreszcie mieć swoje.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo kątem oka spostrzegł wchodzącą do restauracji MaryAnn Bartel. W zabójczych obcisłych czarnych dżinsach i jaskraworóżowej skąpej bluzeczce. Na jego widok rozpromieniła się w uśmiechu. Bailey wzdrygnął się w duchu.

- Cześć, Bailey! - zaszcebiotała. Z daleka owionął go ciężki zapach perfum. Dziewczyna spostrzegła Melanie i jej uśmiech nieco zbladł. - Och, cześć, Melanie. Czyli to prawda? Jesteście zaręczeni?

Jeszcze był czas, by wszystko wyprostować. Oświadczyć, że zaszło nieporozumienie, że to tylko wyssana z palca plotka. Ale fanatyczny blask w oczach dziewczyny przeraził go.

To go czeka. Przez kolejne sześć tygodni, póki nie zakończy się ten idiotyczny konkurs piękności. Nie opędzi się od rozgorączkowanych kandydatek i ich rodzin. Nie dadzą mu chwili oddechu. Zadręczą go. Nie wspominając już o rodzicach. W uszach brzmiało mu zrzedliwe nagabywanie mamy, by wreszcie postarał się o potomka.

Czasowe małżeństwo z Mellie rozwiąże te problemy. To w końcu ma być małżeństwo tylko na papierze. Nie będzie żadnych problemów, żadnych komplikacji. Łącząca ich przyjaźń z pewnością przetrwa taką próbę.

- To prawda - powiedział spokojnie. Popatrzył na Melanie. Widział, że jest zaskoczona. Uśmiechnął się do niej, dla dodania otuchy. Jedyne, co im pozostaje, to nadzieja, że żadne z nich nie pożałuje tej decyzji.

ROZDZIAŁ TRZECI

To zwyczajny piątek, powtarzała sobie w duchu, wychodząc ze szkoły na zalaną słońcem ulicę.

Jak zwykle Bailey przyjedzie po nią i razem wpadną do wypożyczalni wybrać kasety na wieczór. Potem pojedą do niego i zajadając popcorn, aż do nocy będą oglądać filmy.

Choć Większość piątkowych wieczorów spędzali w ten sposób, nigdy wcześniej nie czuła się tak dziwnie podekscytowana. Ale też nigdy wcześniej nie ustalali daty ślubu w urzędzie.

Nie ma powodu do zdenerwowania, zapewniała się w duchu. Wszystko idzie przecież według obmyślonego planu. Jednak te racjonalne argumenty wcale jej nie uspokajały.

Podeszła do zatoczki. Samochód Bailey'a właśnie wynurzył się zza zakrętu. Bailey zahamował, zatrzymał auto. Wyciągnął rękę i otworzył jej drzwi. Od razu zauważyła, że był ubrany inaczej niż zwykle. Zamiast dżinsów i podkoszulka miał na sobie granatowe spodnie i letnią koszulę w drobne paseczki.

Zabawne. Sama zwykle chodziła w spodniach, ale dziś wyjątkowo włożyła sukienkę. Jakby podświadomie oboje wiedzieli, że dzisiejszy dzień wymaga innej oprawy.

- Nie rozmyślałaś się? - zapytał, gdy tylko wsiadła.

- Nie. A ty?

- Co najmniej ze sto razy od wczoraj - przyznał. Uśmiechnął się, w policzka zrobił mu się dołeczek. - Ale gdy tylko postanawiałem, że się wycofam, od razu słyszałem w uszach głos mojej mamy.

Melanie uśmiechnęła się.

- I co on ci mówił?

- Pytał, kiedy się wreszcie ożenię. - Ruszył z zatoczki. - Powinnaś się cieszyć, że masz siostrę. Nawet nie wiesz, jak to jest być jedynym dzieckiem.

- Tylko co twoja mama powie, gdy usłyszy, że znowu się rozwodzisz? - zapytała, starając się nie zwracać uwagi na popołudniowe słońce rzucające blask na jego gęste, ciemne włosy.

- Mam nadzieję, że po drugim razie da sobie spokój. Przystanie mi dogryzać i pogodzi się, że jestem samotny.

- Poza tym będzie mieć wnuczka - dodała Melanie. Zaparkował przed urzędem. Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę.

- Mellie, nim tam wejdziemy, powinniśmy jeszcze coś ustalić.

- Na przykład co?

- Skoro teraz się zapiszemy, to w sobotę moglibyśmy iść do sędziego pokoju, Jeba Walkera, żeby udzielił nam ślubu. Zakładam, że przeniesiesz się do mnie. Nie bardzo mi się uśmiecha przeprowadzka do twojego mieszkanka.

Tak daleko nie wybiegała jeszcze myślami. Właściwie powinna przenieść się na rancho Bailey'a, tym bardziej że tam jest jego klinika. Nagle, po raz pierwszy, dotarły do niej konsekwencje jej planu. Wszystko stało się bardziej realne, rzeczywiste. Załaskotało ją w żołądku.

- Chyba będę musiała zapłacić" czynsz za miesiąc czy dwa, nawet jeśli nie będę tam teraz mieszkać - zastanowiła się. - O, i jeszcze coś, póki pamiętam. Mama prosiła, żebym po drodze do ciebie odebrała jej lekarstwo.

- Nie ma sprawy - odpowiedział spokojnie. Nie spuszczał z niej wzroku. Chyba nigdy jego oczy nie wydawały się jej tak błękitne i tak poważne. - Mellie, ostatnia szansa, żeby zmienić zdanie.

- Nic z tego, Bailey. Wchodzę w to świadomie. Ty dajesz mi dziecko, ja daję ci rozwód. Będziesz mieć pełną swobodę w uczestniczeniu w jego życiu, ale nasz układ wraca do poprzedniego kształtu.

Uśmiechnął się do niej.

- Plan wręcz idealny. - Otworzył drzwi, ona również. Formalności zabrały ledwie kilka minut. Prosto z urzędu wstąpili po lekarstwo, potem do wypożyczalni po kasety.

W drodze do rodziców Melanie uspokoiła się. W wypożyczalni jak zwykle spierali się, co wziąć. Emocje opadły, znowu było jak dawniej.

Jak zawsze dzielili się wrażeniami dnia. Uwielbiała słuchać jego opowieści o zwierzętach, Bailey cierpliwie wysłuchiwał komentarzy Melanie na temat uczniów.

- Nie mogę uwierzyć, że za tydzień kończy się rok szkolny i zaczną się wakacje.

- To się bardzo dobrze składa - odparł Bailey. - Nie będziesz chodzić do pracy, więc zostanie ci dużo czasu na sprzątanie i gotowanie. - Popatrzył na nią filuternie. - Właśnie tym zajmują się żony.

- Nie te czasy, Bailey. Ani ja nie jestem taką kobietą - zareplikowała lekko. - Jeśli spodziewasz się, że będę zbierać twoje brudne skarpetki czy zakręcać po tobie pastę do zębów, to się grubo mylisz.

- Wiedziałem, że to zbyt piękne, by było prawdziwe - jęknął, skręcając w drogę wiodącą na rancho Wattersów.

Znajomy widok domu zawsze budził w niej ciepłe uczucia. Tu się wychowała, z tym miejscem wiązała się jej najlepsze wspomnienia.

- Chyba mają gości - zauważył Bailey, wskazując na zaparkowane na podjeździe samochody.

- Pewnie grają dziś w brydża - stwierdziła Melanie. - Może dlatego mama prosiła, bym odebrała jej lekarstwo. Pogadam chwilę i zaraz wracam.

Bailey zatrzymał auto.

- To ja tu na ciebie zaczekam.

Melanie skinęła głową i wysiadła. Nim jeszcze doszła do domu, ze środka wybiegła Linda.

- Linda, a co ty tu robisz? - zdziwiła się Melanie.

- Ben pracuje do późna, więc wpałam na chwilę. - Popatrzyła w stronę samochodu Bailey'a, kiwnęła energicznie ręką, by wysiadł i przyszedł.

- Jak się czujesz? - zainteresowała się Melanie. Linda pogładziła się po jeszcze płaskim brzuchu.

- Dobrze, ale już mam poranne mdłości. Pierwszy raz, bo przy poprzednich ciążyach nic takiego nie miałam.

Melanie poczuła ukłucie zazdrości. Lindzie życie wspaniale się ułożyło: ma oddanego męża, trójkę dzieci, nieskazitelną cerę bez jednego piega. I piękne blond włosy odziedziczone po mamie.

Melanie wdała się w ojca. On też był piegowaty i rudowłosy. Teraz tata posiwał, a piegi zbladły.

- Bailey, może wejdiesz, rodzicom będzie przykro, jeśli się z nimi nie przywitasz - odezwała się Linda.

- Chciałam tylko po drodze podrzucić mamie lekarstwo - wykręcała się Melanie, wyciągając rękę z buteleczką tabletek.

- No wejdźcie choć na chwilę - nie zrażała się Linda.

- Dzieciaki koniecznie chcą was zobaczyć.

We trójkę weszli prosto do salonu. I tu Melanie i Bailey zatrzymali się jak wryci, bo na ich widok rozległo się chóralne zawołanie:

- Niespodzianka!

Ktoś złapał Melanie w ramiona, ktoś inny całował w policzki. Minęła dobra chwila, nim zorientowała się, że to znajomi i sąsiedzi. A te balony i kolorowe serpentyny są dla niej i dla Bailey'a.

Odszukała go wzrokiem. W jego oczach wyraźnie malowała się panika. To miał być cichy ślub, bez rozgłosu. Przeliczyli się. Całkiem zapomnieli, gdzie mieszkają.

- Moja dziewczynka! - Mama Bailey'a uściśnęła ją żarliwie. - Wszyscy już dawno zachodziliśmy w głowę, kiedy wreszcie przejrzyście na oczy i zrozumiecie, że jesteście dla siebie stworzeni!

- Lu, daj jej odetchnąć - pośpieszył na ratunek Henry, ojciec Bailey'a.

- Cicho, Henry! Mam prawo uściskać po matczynemu moją przyszłą synową! - Puściła Melanie i cofnęła się o krok. - Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszymy. No, to kiedy nastąpi ten wielki dzień?

W salonie zapadła cisza i oczy zgromadzonych skupiły się na Melanie. Trwożnie zerknęła na Bailey'a, szukając w nim podpory. Bailey podszedł i stanął obok niej.

- Planujemy bardzo skromną ceremonię w przyszłą sobotę.

- W przyszłą sobotę! - Mama Melanie popatrzyła na córkę z przerażeniem. - To niemożliwe! Nie damy rady przygotować wszystkiego w tak krótkim czasie.

- Mamo, nie chcemy żadnego wystawnego wesela. Zwykła, prosta uroczystość bez żadnych bajerów.

- Zobaczmy - odparła na to Marybeth i mocno uścisnęła córkę. - A na razie zapraszam na ciasto i różne pyszności. Bawmy się!

Był zbity z tropu. Nie tak to sobie wyobrażali. Naiwnie sądzili, że pobiorą się po cichu, nie zwracając niczyjej uwagi. Ale niestety, nie w Foxrun!

Obie mamy już weszły na najwyższe obroty. Na pewno ustalą stroje, wybiorą kwiaty do ślubnego bukietu, słowem zrobią wszystko, by skromną ceremonię przekształcić w huczną imprezę.

Nalał sobie szklaneczkę cytrynowego ponczu i przesunął wzrokiem po zebranych, szukając Melanie. Stała otoczona wianuszkami pań. Piegi na jej buzi były wyraźne jak nigdy. No cóż, nerwy dały znać o sobie.

Planując ślub, w ogóle nie wzięli pod uwagę wielu kłopotliwych aspektów. Nie pomyśleli, że przyjdzie im oszukiwać najbliższych.

Źle się czuł z tą świadomością. Lecz prawda byłaby jeszcze gorsza. Dla tutejszych ludzi, ceniących moralność, wyjawienie prawdy byłoby ogromnym szokiem. Nauczycielka ze szkoły wychodzi za męża, bo chce zająć w ciąży. Wywieźliby ją na taczkach!

- Bailey, chłopcze - rozpromieniony ojciec Mellie klepnął go po plecach. - Dla naszej Melanie nie ma lepszego mężczyzny pod słońcem niż ty!

- Kocham ją - odpowiedział. Zgodnie z prawdą. Zawsze była mu wyjątkowo bliska. Tylko nie w takim sensie, jak myśleli.

- Och, synu. Wszyscy dobrze wiemy, że się kochacie. I tylko ciągle się zastanawialiśmy, kiedy wreszcie to sobie uświadomicie - ciągnął Red Watters.

Gdy odszedł, Bailey skorzystał z okazji i wymknął się na dwór. Musi odetchnąć chłodnym powietrzem.

Zmierzch już zapadł. Podszedł do stojącej na ganku huśtawki. Było ciemno. Zdumiał się, widząc na niej Melanie.

- Też uciekałeś - stwierdził, przysiadając obok niej.
- Tak dobrze się bawią, że do niczego im nie jestem potrzebna - odparła.
- Podobnie jak ja.

Przez chwilę bujali się w milczeniu. Z domu dobiegał gwar i śmiechy, ciszę nocy przerywało bzyczenie owadów i kumkanie żab.

Owionął go nieznany, przyjemny zapach. Zapach kwiatów. Rozejrzał się, szukając jego źródła.

Na by już za późno, na róże i wiciokrzew za wcześnie.

- Ale się porobiło - zagadnął. Melanie skinęła głową.
- Mam straszne wyrzuty sumienia - powiedziała. Pochyliła się i znowu poczuł ten cudowny zapach.

Olśniło go. To ona. Zawsze tak pachniała? Wcześniej nigdy tego nie zauważył. Uświadomienie sobie tego zakłopotowało go. Podniósł się i podszedł do barierki. Zapatrzył się w ciemność.

- Coś mi się widzi, że nasze mamy wpadły w jakiś amok - zagaił.

Usłyszał, że Melanie wstaje z huśtawki i podchodzi do niego. Stanęła obok, też wbiła wzrok w dal.

- Moja mama już chyba spisała mnie na straty. Uznała za beznadziejny przypadek. Pewnie pogodziła się z myślą, że do końca życia zostanę starą panną.

- Co ty opowiadasz Przecież nawet nie masz trzydziestu lat. Wiele kobiet wychodzi za mąż po trzydziestce, wcale się do tego nie śpieszą.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie w naszym miasteczku. W Foxrun małe dziewczynki wyrastają w przekonaniu, że mają do zrobienia dwie rzeczy: wygrać doroczny konkurs piękności i wyjść za mąż.

- Jak to się stało, że ty nigdy nie startowałaś w konkursie? - zaciekał się.

W świetle padającym z okna jej oczy wydawały się intensywnie zielone.

- Bailey, zjedź wreszcie na ziemię! - prychnęła. - Bardzo wcześnie zdałam sobie sprawę, że nawet nie mam co próbować. Z moją urodą? Piegowaty chudzielec nie ma żadnych szans na koronę.

Nim zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko.

- Ach, tu jesteście! - rozległ się głos Luelli, matki Baileya. - Chodźcie do nas. Wszyscy was szukamy. Wracajcie do środka. Mam dla was niespodziankę.

Bailey i Melanie wymienili niespokojne spojrzenia, po czym posłusznie weszli do salonu.

- Proszę o uwagę! - zawołała Luella, uderzając dłonią w stół.

- Lu, na litość boską, przestań, bo cały stół się trzęsie - ojciec Baileya próbował uspokoić podekscytowaną małżonkę.

Bailey skrzywił się mimowolnie. Choć raz mogliby zachowywać się jak należy. Odkąd sięgał pamięcią, rodzice stale darli koty. Miał serdecznie dość wysłuchiwanie ich nieustannych zaczepek. Nie rozumiał, co jeszcze trzyma ich przy sobie. Już dawno powinni się rozstać.

Przykład rodziców skutecznie zniechęcał go do małżeństwa. Poznanie pięknej Stephanie sprawiło, że zaczął inaczej patrzeć na związek dwojga osób, zapomniał o uprzedzeniach. Jednak to zauroczenie szybko minęło. Stephanie skutecznie wyleczyła go z resztek złudzeń.

Od tamtej pory stał się realistą. Miłość, dozgonne szczęście, bliskość i pełne zrozumienie - to pięknie brzmi, ale zdarza się tylko w bajkach. Rzeczywistość jest całkiem inna. Ludzie pobierają się i od tej pory mogą się bezkarnie wzajemnie szarpać.

- Henry, podaj mi torebkę. - Rozkazujący głos mamy natychmiast przywołał Baileya do rzeczywistości.

Ojciec podał jej okazałych rozmiarów czarną torbę. Mellie z zaciekawioną miną stanęła obok. Bailey wzruszył ramionami. Też nie miał pojęcia, co teraz nastąpi.

Luella wyjęła z torby niewielkie pudełeczko.

- Bailey i Melanie - zaczęła z powagą. - Oto pierścionek, który przed laty dostałam od Henry'ego, gdy prosił o moją rękę. - Otworzyła wieczko i ich oczom ukazał się delikatny złoty pierścionek z rubinowym oczkiem w kształcie serca.

Podeszła do Baileya i Melanie. Wyjęła pierścionek.

- Wiem, że to nie jest brylant - powiedziała. - Pierścionek z brylantem dostałam dopiero po dziesięciu latach małżeństwa.

- Musiałem latami harować po godzinach, by zarobić na wielki diament i zamknąć jej buzię - zaśmiał się Henry. Zebrani przyjęli to spontanicznym aplauzem.

- Tak czy inaczej - ciągnęła nie speszona Luella - ten pierścionek ma dla mnie ogromną wartość sentymentalną. Nie dałam ci go dla tej dziewczyny, którą tu przywiozłeś z college'u, ale z ogromną przyjemnością zobaczę go na palcu Melanie.

Włożyła pierścionek w dłoń syna. Wziął go z ociąganiem. Wiedział, że wszyscy na nich patrzą.

- Dziękuję, mamó. - Pochylił się i cmoknął ją serdecznie w policzek.
 - Nie stój tak, tylko załóż go Melanie na palec - popędziła go matka. - Jesteście zaręczeni, a ona nie ma pierścionka.

Bailey odwrócił się do Melanie. Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Doskonale wiedział, co sobie myśli. Dokładnie to samo, co on. Że sytuacja ich przerosła.

Ujął jej rękę. I zdziwił się, że ma tak delikatną i drobną dłoń. Była zimna jak lód, drżała. Wsunął jej pierścionek na palec i szybko puścił rękę.

- Pocałuj ją! - zawołał ktoś z tłumu, a reszta natychmiast to podchwyciła.

- Gorzko, gorzko!

Poczuł, że twarz mu płonie. Popatrzył na Melanie. Ona też spiekła raka. Pochylił się i musnął jej usta. Tak jak robił to przez lata.

Zebrani nie kryli rozczarowania.

- Ja moją babcie całuję z większą czułością! - zawołał ktoś z tłumu.

- Dalej, Bailey, pokaż, co potrafisz! - zachęcał ktoś inny. Mellie zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Nie chciał

przedłużyć tej sytuacji. Najlepiej podejść do tego z poczuciem humoru, obrócić to w żart. Uśmiechnął się uwodzicielsko, chwycił dziewczynę w ramiona. Zebrani zamruczeli z aprobatą. Pocałował ją z żarem.

Ledwie dotknął jej ust, przeszył go dziwny dreszcz. Nie spodziewał się, że Mellie zarzuci mu ręce na szyję, odwzajemni pocałunek. Ale cóż, odgrywają tylko scenę, nic więcej.

Zaskoczyło go, że to takie przyjemne. Jej usta są tak cudownie miękkie, takie słodkie... Pośpiesznie odsunął głowę, cofnął się. Powietrze rozbrzmiewało od wesołych okrzyków. Nie patrzył na Mellie. Odetchnął z ulgą, gdy zebrani dali im wreszcie spokój.

Próbował odgonić od siebie myśli o tym pocałunku. Był tak niesamowity z bardzo oczywistych powodów. Nerwy, adrenalina, świadomość, że wszyscy na nich patrzą. Dlatego jej usta wydały mu się tak rozkoszne.

Nie mógł się doczekać, kiedy ta szopka się skończy i goście pójdą do swych domów. Z uśmiechem żegnał ich na ganku. Melanie stała obok niego, dziękując wszystkim za przybycie.

Gdy ostatni gość zniknął w oddali, weszli do domu i zabrali się za sprzątanie. Znosząc do kuchni puste talerze i kieliszki, Bailey starał się nie słuchać, jak rodzice znowu się spierają. Tym razem o sałatkę ziemniaczaną. Czy lepsza jest z majonezem, czy z sosem musztardowym.

Popatrzył na Mellie ścierającą ze stołu ślady po rozlanym ponczu.

- Oni chyba specjalnie wyszukują sobie rzeczy, o które mogliby się kłócić.

Melanie uśmiechnęła się, ustawiła kwiaty na środku stołu.

- Tak się ze sobą droczą. Tam mają styl. Widać to im najbardziej odpowiada.

- Wiem, ale czasami już nie mogę tego wytrzymać. - Rozejrzał się. - Chyba już wszystko posprzątaaliśmy. To co, odwiozę cię do domu?

- Nie, dzięki. Mama obiecała, że mnie odwiezie. Kiwnął głową.

- W takim razie jeszcze zajrzę do kuchni, żeby się pożegnać. - Wyszedł, zostawiając ją w salonie.

Czuł się niezręcznie. Od czasu pocałunku panowało między nimi dziwne napięcie. To go martwiło.

Melanie prawie sienie odzywała. Była jakaś cicha, odległa. Oby tylko to niczego nie zmieniło. Ich przyjaźń jest dla niego podporą, czymś bardzo ważnym. Mellie to jedyna osoba, przy której bez problemu potrafi się otworzyć, z którą może się wszystkim podzielić, na którą zawsze może liczyć.

Odprowadziła go do samochodu. Znowu owionął go ten kwiatowy zapach. Dlaczego nigdy wcześniej go nie poczuł? Może po prostu zmieniła perfumy, pocieszył się.

Przystanęli. Powietrze było gęste od napięcia. Skąd to się wzięło? - zastanawiał się gorączkowo. Przecież nie z powodu pocałunku. To było tylko na pokaz.

- Gdy wszystko się zakończy, zwrócę twojej mamie pierścionek - odezwała się Melanie. - Ewentualne prezenty ślubne też oddamy, nie będziemy ich rozpakowywać.

Przesunął palcami po włosach. Coraz bardziej żałował, że dał się w to wciągnąć.

- Wiesz, chyba byłoby prościej, gdybym powiedział SueEllen, że jestem gejem.

Melanie zaśmiała się.

- Dopiero byś na tym wyszedł! Całe Foxrun by huczało od plotek. - Spowaźniała. - Wiem, że najchętniej byś się wycofał, ale nie rób tego, proszę.

Dotknęła jego ramienia i podniosła na niego błyszczące oczy.

- Spotykałam się z różnymi chłopakami, ale żaden nie przypadł mi do gustu. Bailey, daj mi dziecko, a już nigdy o nic więcej cię nie poproszę.

Wzdrażał się przed tym pomysłem. Czuł, że to okaże się trudniejsze, niż przypuszczają. Ale z drugiej strony Melanie nigdy go nie zawiodła. To dzięki niej doszedł do siebie po rozwodzie. A ona słowem nie zapytała, o co mu poszło ze Stephanie. Nie potrafił jej odmówić. Nigdy tego nie umiał.

- A będziesz zbierać moje brudne skarpetki? Uśmiechnęła się.

- Umowa stoi.

Podniosła rękę, stuknęli się dłońmi. Tak jak to robili od dziecka, przyklepując sprawę. Odetchnął z ulgą. Pochylił się i pocałował ją w policzek. Otworzył samochód.

- Zadzwonisz jutro?

- Jak tylko się obudzę.

Wsiadł do auta. Znowu wrócili na utarte tory, zniknęło napięcie. Mellie ma rację. Między nimi nic się nie zmieni. Nawet to małżeństwo nie zagrozi ich przyjaźni.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bailey całuje po mistrzowsku. Wiedziała o tym już od ósmej klasy. Wtedy odbyło się to pizamowe przyjęcie, o którym tyle później mówiono. Był konkurs w całowaniu i Bailey bezapelacyjnie zdobył pierwsze miejsce.

Nie brała udziału w tamtym konkursie. Teraz nie miała wątpliwości - dziewczyny wcale nie przesadzały. Jest w tym świetny. Na samo wspomnienie jego miękkich, gorących ust ogarniał ją dziwny płomień.

Odkąd się obudziła, nie mogła myśleć o niczym innym jak o pocałunku. Prześladował ją i napełniał błogą słodyczą. Odepchnęła od siebie te myśli. Pora wziąć się do roboty. Pośpiesznie zapakowała do samochodu kilka kartonów swoich rzeczy i ruszyła do Baileya.

Znów był piękny, ciepły dzień. W powietrzu, przesyconym zapachem ziemi i traw, czuło się zapowiedź nadchodzącego lata. Opuściła szyby, rozkoszując się świeżym, orzeźwiającym wiatrem.

Wybiegła myślą w przyszłość. W piątek zakończenie roku szkolnego, w sobotę wezmą ślub. Serce zatrzepotało jej w piersi.

Weźmie ślub z Baileym. Tego się nie boi. Coś innego budzi w niej dziwny niepokój. Lęk, co stanie się po ślubie.

Seks. Skoro cała idea tego małżeństwa to zajście w ciążę, bardzo prawdopodobne, że nie skończy się na jednym razie.

Sądząc po pocałunku, jeśli to może być jakaś wskazówka, seks z Baileym będzie czymś cudownym... a właśnie taki powinien być pierwszy raz.

Skręciła w drogę prowadzącą na rancho Baileya. W oddali zajaśniały zabudowania. Pośpiesznie odepchnęła od siebie budzące niepokój myśli.

Piękne jest to jego rancho. Zawsze się jej podobało. Pomalowany na biało dom ocieniony od frontu starymi dębami. Aż się prosi, by na ganku postawić huśtawkę. Nie raz na ten temat mówiła, ale Bailey nie chciał o tym słyszeć. Twierdził, że to dobre dla starego małżeństwa, w żadnym wypadku dla kawalera.

Zatrzymała się na podjeździe. Bailey już śpieszył w jej stronę. Przekreśliła kluczyk i wysiadła. Zdziwiła się, widząc jego zmęczoną twarz.

- Cześć - powitał ją.

- Cześć - odpowiedziała. - Co jesteś taki zmarnowany? Przeciągnął palcami po włosach, westchnął ciężko.

- Skoro świt zadzwonił do mnie szeryf. Wykrył nielegalną hodowlę psów. Ma ze dwadzieścia wycieńczonych, odwodnionych i zapchlonych

szczeniaków. Właśnie szykuję się na ich przyjęcie. Już przejrzałem leki i sprzęt. Teraz zabieram się za mycie klatek.

- Może ci pomogę? - zaproponowała. - Rzeczy wypakuję później.

Po raz pierwszy Bailey uśmiechnął się.

- Bardzo chętnie.

- Kto prowadził tę hodowlę? - zapytała, idąc za nim do stodoły.

- Nie znam człowieka. Mieszka gdzieś w starej części Ellsbury, blisko autostrady. - Otworzył drzwi i przepuścił ją do środka.

Klinika urządzona w dawnej stodole mogła wprawiać w zdumienie. Klimatyzowana, z nowoczesnym gabinetem i doskonale wyposażoną salą operacyjną. Nie zabrakło specjalnego pomieszczenia do kąpieli pacjentów.

Z tyłu mieściły się ustawione rzędem klatki połączone wspólnym wybiegiem.

- Muszę wyłożyć go świeżym sianem - rzekł Bailey, wskazując na wybieg. - A klatki trzeba wyczyścić i zdezynfekować. Już mam przygotowany roztwór. Nawet nie wiesz, jak bardzo przyda się twoja pomoc.

- Nie ma sprawy. W końcu od czego są przyjaciele? - Uśmiechnęła się.

Przykucnęła przed pierwszą klatką, przysunęła do siebie wiadro z roztworem. Już po kilku minutach w powietrzu zaczął unosić się zapach mydła i skoszonej trawy.

- Jakie to pieski? - zapytała, kończąc mycie pierwszej klatki.

- Miniaturowe sznaucerki i jeden czy dwa cocker spaniele. Szeryf powiedział, że trzymano je w naprawdę nieludzkich warunkach.

- Biedne psinki? - uzalała się Melanie.

Przez jakiś czas pracowali w zgodnym milczeniu. Bailey nucił pod nosem. Zawsze tak robił, gdy był czymś pochłonięty. W szkole nieraz dostało mu się z tego powodu. Jej to nie przeszkadzało. Czasem nuciła razem z nim.

Może ten jego nawyk złościł Stephanie? Może między innymi dlatego go zostawiła? Nigdy nie rozmawiali na ten temat. Bailey ograniczył się do stwierdzenia, że piękna Stephanie nie mogła przyzwyczyać się do życia w małym miasteczku.

Bailey skończył rozrzucać siano i zabrał się za klatki.

- Kiedy szeryf przywiezie szczeniaki? - zapytała.

- Może pojawić się w każdej chwili. Gdy dzwonił, jeszcze nie miał odpowiedniego samochodu.

- Jak ty sobie poradzisz z dwudziestką szczeniąt? Spochmurniał.

- Mam wszystkie niezbędne środki, miejsca też wystarczy. Potrzeba tylko kogoś do pomocy.

- Na przykład kogo? - zapytała.

- Może zadzwonię później do Susan Sinclair. Gdyby mogła przyjść na kilka godzin rano i kilka po południu... Pracowała u mnie w zeszłym roku. Z tego, co wiem, pracuje na pół etatu w sklepie prowadzonym przez jej rodzinę.

- I startuje w konkursie piękności - dodała Melanie. Uśmiechnęła się znacząco. - Taka propozycja ze strony jurora na pewno ją bardzo ucieszy.

Bailey jęknął głucho.

- Rzeczywiście, to się fatalnie składa - wymamrotał. Melanie roześmiała się.

- Żebyś wiedział! - potwierdziła.

Od frontu dobiegi ich dźwięk zatrzymującego się samochodu, a zaraz potem piskliwy zgiełk i ujadanie psiaków.

- Chyba się doczekaliśmy - oznajmił Bailey, wstając z podłogi.

Wyciągnął rękę, by pomóc wstać Melanie. Przeszedł ją dreszcz. Była zdumiona. Nigdy tak nie reagowała na Bailey'a. Na szczęście niczego nie zauważył.

Szybko wyszli na zewnątrz. Tuż przed stodołą stał wielki samochód do przewozu bydła. Oprócz szeryfa przybyło kilku strażaków.

- Bailey, Melanie, witajcie. - Szeryf wyglądał na zmęczonego. - Słyszałem, że przyjmujecie gratulacje. - Przeniósł wzrok na Melanie. - Najwyższy czas, byś zrobiła z niego porządnego człowieka.

- Żonatego, to owszem, ale czy porządnego? - zażartowała, uciekając przed kuksańcem Bailey'a.

- Bierzmy się za szczeniaki - zarządził szeryf. - Trzeba je wyładować. Udało mi się znaleźć ochotników - dodał, wskazując na strażaków. - To samochód Georga Clairborna. Musi go mieć z powrotem za godzinę.

- Przenieśmy je na razie na wybieg — zdecydował Bailey po namyśle.

Umieszczenie szczeniaków i ich matek na wybiegu zabrało dobrą godzinę. Według tego, co powiedział szeryf, właściciel hodowli ukrył samce w innym miejscu. Na razie jeszcze nie udało się ich znaleźć.

Odprawdzili szeryfa i ochotników do samochodu. Wtedy Melanie usłyszała cichutki pisk.

- Proszę poczekać! - Weszła na wyścieloną sianem skrzynię i nastawiła uszu.

- Co się stało? - zaniepokoił się Bailey.

- Chyba jakiegoś przegapiliśmy. - Znowu coś pisnęło. Melanie weszła w najdalszy kąt. Czarny jak węgiel sznaucek wbijał w nią załzawione brązowe oczka. - Ty kajtku - powiedziała łagodnie, biorąc zwierzątko na rękę. Piesek przytulił się do jej piersi. Szukał nie tylko ciepła, ale kojącego bicia jej serca. Z miejsca straciła dla niego głowę. Bailey pomógł jej zejść na ziemię. Uśmiechnął się.

- Już przepadałś. Znam to spojrzenie. Szczenięta zawsze tak działają na kobiety. Od razu robią wam się maślane oczy.

- Gadasz tak, bo zazdrościsz, że na ciebie nikt tak nie patrzy - odgryzła się, przytulając do siebie maleńkie ciało pieska.

Bailey wznosił oczy do nieba. Machnął na pożegnanie odjeżdżającym.

- Teraz pora na mnie - oznajmił. - Muszę dokładnie obejrzeć wszystkie pieski, zaaplikować niezbędne leki, dać im jedzenie i wykapać.

- No, to zaczynajmy - zaproponowała. Popatrzył na nią z zaskoczoną miną.

- Zostaniesz mi pomóc?

- No jasne. Przyszła żona chyba powinna pomagać przyszłemu mężowi, no nie? - rzuciła lekko i bez zastanowienia, a jednak serce zabiło jej mocniej. Zabawne.

- Jak najbardziej. Jako przyszła żona powinnaś mi pomagać, przyrządzać mi posiłki i zbierać po mnie skarpetki.

Roześmiała się. Dobrze, że tak odebrał jej słowa, nie doszukując się żadnych podtekstów.

- Już ci zapowiedziałam, że nie tknę twoich skarpetek - podkreśliła z naciskiem. Ruszyli do stodoły.

Przez następne trzy godziny doprowadzali do porządku wystraszone psiaki. Po kąpieli pieski przechodziły dokładne oględziny. Melanie wpisywała dane do komputera, nadając każdemu z nich imię, które potem wypisywała na klatce.

Nie mogła wyjść z podziwu nad kompetentnym podejściem Baileya. Badając szczeniaki, był nadzwyczaj delikatny. Przemawiał do nich spokojnie i miękko, łagodnie gładził po grzbiecie drżące z przejęcia, zdenerwowane zwierzątka.

Czy podczas gry wstępnej też będzie przemawiać do niej tak czule? Co ona sobie roi? W ich przypadku może w ogóle się bez tego obejść. Gra wstępna nie jest niezbędna, żeby zająć w ciążę.

Do zbadania pozostał ostatni piesek, czarny sznaucek, który zaszył się w sianie.

- Jedyny tak umaszczony - zauważył Bailey, pochylając się nad psiakiem. - Żadna suka nie chce się nim zaopiekować.

- Biedaczek - użaliła się nad nim Melanie. Potarosiła go po futerku. Po kąpieli zrobiło się puszyste i jedwabiste. - Ja będę jego mamą. - Popatrzyła na Bailey'a, tknięta nagłą myślą. - Jak to się stało, że sam nie masz psa? Przecież tak je lubisz.

Wzruszył ramionami. Skończył badać szczeniaka i podał go jej.

- Kiedyś miałem psa... pamiętasz, Champa.

Och, rzeczywiście. Zapomniałam. Ale to było sto lat temu. - Złotego retrievera rodzice Bailey'a mieli przez długie lata. Zginął po potrąceniu przez samochód. Bailey miał wtedy dwanaście lat.

Doskonale pamiętała tamten dzień. Bailey przyszedł do niej i przez godzinę w milczeniu siedzieli na ganku. Bailey nie płakał, w ogóle nic nie mówił. Tylko po jego oczach widziała, jak strasznie przeżywa śmierć przyjaciela.

Tak to z nim jest. Na co dzień wesoły i otwarty, lecz ból tłumi w sobie.

Zapadał zmierzch, gdy wreszcie wyszli ze stodoły i ruszyli do domu. Oboje padali ze zmęczenia, w brzuchach burczało im z głodu. Bailey nie chciał wypuścić jej bez gorącego prysznica i kolacji.

- Wiesz, coś wymyśliłam - zaczęła Melanie.

- Brawo! Trzeba to uczcić! - zażartował, a przyjaciółka karcąco klepnęła go po ramieniu.

- Mówię poważnie. Chodzi mi o kogoś, kto mógłby ci pomagać. - Zatrzymali się przy jej samochodzie. Melanie otworzyła bagażnik, zaczęli systematycznie wypakowywać kartony z jej rzeczami.

- I co wymyśliłaś? - zapytał Bailey, chwytając największe pudło.

- W piątek kończę lekcje i będę zupełnie wolna. Przez ten tydzień mogłabym wpadać do ciebie rano, na jakąś godzinę, a potem przyjeżdżać prosto po pracy. Jeśli przebrniesz przez ten tydzień, nie będziesz musiał nikogo zatrudniać.

- To by się dało zrobić - przystał. Pchnął drzwi wejściowe. - Na pewno jesteś gotowa tak się zaangażować?

- Muszę się zająć moim malutkim - odparła, stawiając na podłogę niesiony przez siebie karton.

- Dzięki, bardzo lubię, gdy ktoś o mnie dba. - Postawił wielkie pudło i uśmiechnął się do dziewczyny. Znow miał ten dołeczek na policzku.

- Nie mówiłam o tobie - przekomarzała się - ale o moim Kajtku.

Bailey westchnął ciężko.

- Coś mi się widzi, że jeszcze trochę, a zechcesz go zabrać na pokoje.

Zaśmiała się radośnie.

- Naprawdę, zgodzisz się na to?

- Szeryf prosił, bym postarał się znaleźć tym psiakom dobre domy, a ty przecież zawsze chciałaś mieć psa.

- Tak! - rozpromieniła się. - I myślę, że ten malutki już mnie troszeczkę polubił. - Impulsywnie zarzuciła Baileyowi ręce na szyję i cmoknęła go w policzek.

Automatycznie przygarnął ją do siebie. Oblała ją fala gorąca. Pośpiesznie się cofnęła. Co się z nią dzieje?

- Pierwsza zajmuję prysznic! - zawołała, wyciągając z kartonu świeże sorty i podkoszulek.

- To ja w tym czasie pomyślę o kolacji - przystał zgodnie.

Odetchnęła pod strumieniem gorącej wody. Jakoś przesadnie reaguje na Bailey'a. Choć może to normalna kolej rzeczy, skoro za kilka dni mają zostać małżeństwem.

Teraz zauważała to, czego wcześniej nigdy nie dostrzegła. Na przykład jego piękne dłonie, przyjemnie ciepłe policzki, nieco szorstkie od zarostu.

Ubrała się i wróciła do salonu. Bailey siedział na kanapie i popijał zimne piwo.

- Myślałam, że zajmujesz się kolacją.

- Bo tak jest. Zamówiłem pizzę, a na deser mamy słynny placek wiśniowy pani Caldwell.

- Upiekła ci placek? Co jej się stało?

Wyciągnął do mej puszkę z piwem. Wypiła dwa łyki. Od dawna miała zwyczaj upijania trochę od niego.

- Chciałbym myśleć, że to z sympatii, ale na odchodne napomknęła, że jej wnuczka startuje w konkursie. - Podniósł się, wysączył piwo do końca. - Na stole leżą pieniądze na pizzę, w razie gdyby przywieźli ją, gdy będę pod prysznicem.

Odprowadziła go wzrokiem. Szerokie bary, wąska talia, szczupłe biodra. Znow przeszyła ją fala gorąca. Pośpiesznie odwróciła wzrok. Poszła do kuchni nakryć do stołu.

Dom był piękny, lecz urządzony oszczędnie, wręcz surowo. Typowo po kawalersku. Wprawdzie w kuchni wisiały żółte zasłony, ale na stole nie było obrusa czy serwetek, brakowało też jakichś ozdób.

Wiedziała, jak jest u Bailey'a, dlatego pakując się, zabrała parę rzeczy, które ocieplą surowe wnętrza. Skoro będzie tu mieszkać miesiąc czy dwa, chce się czuć jak u siebie. Na razie niczego nie będzie zmieniać. Zrobi to po ślubie.

Zajęła się nakrywaniem stołu. Niepotrzebnie się tak przejmuję. Teraz Bailey jest dla niej nie tylko dobrym kumplem, ale również mężczyzną, jednak po rozwodzie przestanie być taka podminowana.

To napięcie nie ma związku z Baileym. Nie jego się lęka, lecz seksu. Bo jest coś, czego nigdy mu nie wyznała... że dla niej to nie odkryty ład.

Bailey myślał, że niegdyś łączył ją bliski związek z chłopakiem, z którym chodziła w college'u. Tak wcale nie było, lecz ona nie wprowadzała go z błędu.

Dzwonek wyrwał ją z tych rozmyślań. Złapała pieniądze, pobiegła do drzwi.

Stawiała pizzę na stole, gdy do kuchni wszedł Bailey. Włożył inne dzinsy i białe podkoszulek.

- Przychodzisz w samą porę - powiedziała.

- Umieram z głodu! - Usiadł na wprost niej. Nie czekając, sięgnęli po gorącą, pikantną pizzę.

Zjedli po dwa kawałki. Oboje tak zgłodnieli, że nawet nie rozmawiali. Dopiero gdy zaspokoiли pierwszy głód i Bailey wyciągnął rękę po kolejny kawałek, Melanie powiedziała:

- Muszę cię ostrzec, że nasze mamy już od rana wisiały na telefonie. Można się tylko domyślać, co knują.

Bailey skrzywił się lekko.

- Wiem. Mama dzwoniła do mnie z samego rana. Pytała, czy wiem, jakie chcesz kwiaty.

- I co jej powiedziałaś?

- Najpierw przypomniałem, że to ma być bardzo skromny ślub. A potem powiedziałem, że stokrotki. - Błysnął uśmiechem. - Myślałaś, że nie wiem, jakie są twoje ulubione kwiaty?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Zna ją jak własną kieszeń, to prawda.

- Nie byłam pewna, czy pamiętasz. Pochyliła się i zdjęła z pizzy kawałek pepperoni.

- Wiem, że czasem gadam jak najęta, a ty wcale mnie nie słuchasz.

- Przepraszam, co powiedziałaś? - Roześmiał się, bo Melanie wycelowała w niego pepperoni. - Przynajmniej mamy wymówkę, dlaczego nie jedziemy w podróż poślubną.

- Z powodu szczeniaków. Kiwnął głową.

- Na pewno chcesz mi pomagać? Możesz się jeszcze wycofać.

- Daj spokój. Skończyłeś, czy będziesz się dalej obżerać? Machnął ręką na znak, że może zabrać talerz.

- Najadłem się jak bąk.

Melanie przykryła pizzę folią, schowała ją do lodówki. Gdy się odwróciła, Bailey miał zmienioną minę. Coś go dręczyło.

- Co się stało? - zapytała ostrożnie.

- Ona nie lubiła zwierząt - rzekł wolna

- Kto? Stephanie? - Usiadła przy stole. Była zaskoczona, że podjął ten temat.

Skinął głową.

- Uważała, że psy brudzą, koty wszędzie zostawiają sierść, a każde zwierzę choć trochę przypominające gryzonia jest z góry skreślone.

- Skoro nie znosiła zwierząt, to czemu wyszła za weterynarza? - zdumiała się Melanie.

Bailey odchylił się na krześle, potarł w zamyśleniu policzek. Z jego błękitnych oczu niczego nie można było wyczytać.

- Liczyła, że namówi mnie, bym zaczął leczyć ludzi. Ze przeniesiemy się do dużego miasta i będziemy wieść dostatnie życie.

- Nie wiedziała, że tutaj już to masz? Nie dość, że jesteś powszechnie szanowany, to jeszcze masz posiadłość z prywatnym stawem.

Bailey zaśmiał się, ujął ją za rękę.

- Wiesz, czasami zastanawiam się, co ja bym bez ciebie zrobił!

Serce zatrzepotało jej niespokojnie.

- Jesteś najlepszym kumpel, jakiego można sobie wymarzyć - dodał Bailey.

To ją ostudziło. Uścisnęła jego dłoń, po chwili puściła ją i wstała.

- Pewnie, że jestem - powiedziała lekko. - Ale teraz twój kumpel musi wracać do domu.

Podniósł się i odprowadził ją do drzwi.

- Przyjadę jak najwcześniej. Przywiozę trochę swoich rzeczy i pomogę ci przy psiakach.

- Będę czekał z kawą. - Pochylił się i musnął ustami jej czoło. - Dobranoc, Mellie.

- Dobranoc, Bailey.

W drodze do domu przypomniała sobie jego niedawne słowa. Co by bez niej zrobił... Szkoda, że nie odnosiło się to do niej jako kobiety.

Potrząsnęła głową. Co za bezsensowne myśli. Może jej też udzieliła się atmosfera zbliżającego się konkursu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Colette, jedzenie było przepyszne - z przekonaniem oświadczył Bailey, odsuwając od siebie pusty talerz. Uśmiechnął się do siedzącego naprzeciw niego Tannera Rothmana.

- Szczęściarz z ciebie, stary. Twoja żona jest nie tylko piękna, ale jeszcze potrafi gotować.

- A za kilka tygodni będzie kobietą sukcesu - dopowiedział Tanner, z czułością spoglądając na swoją niedawno poślubioną małżonkę.

- Świetnie się zapowiada. - Bailey zwrócił się do Colette.

- Kiedy otwarcie sklepu?

- Od jutra za tydzień - odparła. - Czekam jeszcze na towar, chcę, żeby niczego nie brakowało.

- Szybka jesteś - z uznaniem rzekł Bailey.

- Lokal był w dobrym stanie i trafiła nam się sprawna ekipa Dlatego poszło szybko - wyjaśnił Tanner.

- To będzie sklep z rzeczami dla dzieci? - upewnił się Bailey.

Colette skinęła głową.

- Wszystko, co jest niezbędne przez pierwsze cztery lata.

- Czyżby Melanie... - Tanner umilkł taktownie.

- Nie, nie - pośpiesznie zapewnił Bailey. - Nie jest cięży, ale chce jak najszybciej mieć dziecko.

- To mam nadzieję, że będziecie moimi najwierniejszymi klientami - uśmiechnęła się Colette.

- Gina nadal prowadzi twój sklep w Kansas City?

- Idzie jej doskonale, wbrew obawom jej starszego brata Tannera - powiedziała Colette. Pieszczotliwie dotknęła dłoni męża. - Teraz zostawiam was samych, żebyście mogli sobie w spokoju pogadać. - Uśmiechnęła się i wyszła z jadalni.

- Czyli jutro nastąpi wielki dzień - zagaił Tanner.

- Uhm. - Bailey zacisnął palce na kubku z kawą.

- Gdybym wiedział wcześniej, można by urządzić wieczór kawalerski.

- Co ty, nawet mi o tym nie mów! - wzdrygnął się Bailey. - Wystarczy, że Melanie nie mogła się wymigać z dzisiejszej imprezy zaplanowanej przez rodzinę i koleżanki.

Pociągnął łyk kawy. Korciło go, by wyznać Tannerowi prawdę, wyjawić, że to małżeństwo na niby.

- Zamierzaliśmy wziąć cichy ślub, ale nasze rodziny nawet nie chciały o tym słyszeć.

- Coś ci powiem, Bailey. Małżeństwo to piękna rzecz. Nie ma nic wspanialszego niż odkrywanie ukochanej kobiety.

- Mellie nie ma przede mną żadnych tajemnic. Chwilami myślę, że znam ją lepiej niż siebie - zareplikował.

Tanner zaśmiał się, słysząc to oświadczenie.

- Tak ci się tylko wydaje. Dopiero teraz ją poznasz, a przez to stanie ci się jeszcze bliższa. - Pochylił się do przodu. - Stary, nigdy nie czułem się taki szczęśliwy jak w roli męża.

To było widać po jego twarzy. Oczy błyszczały mu radośnie, cały promieniał. Przez mgnienie Bailey poczuł ukłucie zawiści.

- Chętnie bym posiedział, ale muszę pędzić. Rozumiesz, jutro ślub.

Tanner też się podniósł.

- Odprowadzę cię.

- Podziękuj Colette w moim imieniu - poprosił Bailey, wychodząc na dwór.

- Dobrze. Słyszałem, że wybrano cię na jurora w naszym konkursie.

- Uhm. Czemu ty się wycofałeś? Tanner wzruszył ramionami.

- Obiecałem Colette, że zajmę się uruchomieniem jej sklepu. To wymaga czasu. Przyznaj się, widziałeś już SueEllen na golasa?

Bailey wbił w niego zdumione spojrzenie. Tanner wybuchnął śmiechem.

- Skąd wiedziałeś?

- Gdy tylko ogłoszono, że ja będę jurorem, przysłała do mnie wieczorem w płaszczu przeciwdeszczowym, pod którym nic nie miała.

- Na mnie czekała pod prysznicem. Chciała mi umyć plecy.

- Biedna dziewczyna. - Tanner z politowaniem pokiwał głową. - Tak bardzo zależy jej na zdobyciu tytułu, że zatracza trzeźwość spojrzenia. Nie rozumie, że w ten sposób niczego nie zyska. - Uśmiechnął się. - Ale zgrabna z niej dziewczyna, co?

Bailey też się uśmiechnął.

- Nie zwróciłem uwagi.

- I dobrze - odparł Tanner. Bailey wszedł do samochodu. - To do zobaczenia jutro na weselu.

Jutro na weselu. Przez całą drogę do domu te słowa tłukły mu się po głowie. Najchętniej by zaraz zadzwonił do Mellie i wszystko odwołał.

Niepotrzebnie tak się przeraził konsekwencjami wyboru na jurora. Pojawienie się SueEllen dołało oliwy do ognia. Dlatego z łatwością przystał na plan Melanie.

Teraz za późno, by cokolwiek zmienić. Obie mamy zatroszczyły się o wszystko. Zamówiły kwiaty, jedzenie na przyjęcie, zarezerwowały salę i

wynajęły zespół muzyczny. Na niego już czekał czarny frak, a od trzech dni nadchodziły ślubne prezenty.

Tylko śmierć mogłaby go wybawić od tego ślubu.

Jedynе pocieszenie, że Tanner niepotrzebnie go przestrzegał. On zna Mellie jak nikt. Wie, co lubi, jak się zachowuje. Nie będzie niespodzianek. Może Mellie szybko zajdzie w ciążę. A wtedy wezmą rozwód i wszystko będzie jak dawniej.

Tylko co stanie się z dzieckiem? - szeptał wewnętrzny głos. Po raz pierwszy pomyślał o tej kruszynie, która narodzi się z tego związku. To będzie jego dziecko...

Nigdy nie myślał o dzieciach. Stephanie od razu postawiła sprawę jasno. Nie chciała dzieci. Podejrzewał, że miała do nich podobny stosunek jak do zwierząt.

Zatrzymał samochód pod domem. Od razu poszedł do stodoły, by zerknąć na psiaki. Nic dziwnego, że przepadał za psami. Są takie bezproblemowe. Wystarczy je nakarmić, napić i podrapać za uszkiem, a obdarzą człowieka bezwarunkową miłością.

Popatrzyła na swoje odbicie. Przez cały tydzień przekonywała mamę, że nie potrzeba jej ślubnej sukni, bo w zupełności wystarczy beżowa garsonka. Ostatecznie stanęło na tym, że wybrała prostą suknię z białego jedwabiu. Obcisła, zapinana na drobne guziczki góra przylegała jak druga skóra, podkreślając biust i wąską talię.

Wysoko upięte włosy lśniły miedzianym blaskiem, kontrastując ze zdobiącymi je stokrotkami i delikatną mgiełką gipsówki.

- Wyglądasz prześlicznie - zachwyciła się mama. Melanie skrzywiła nos.

- Tak jak może wyglądać piegowaty rudzielec.

- Nie mów bzdur - uciszyła ją mama. - Wyglądasz naprawdę pięknie. - Serdecznie uścisnęła córkę. - Kochanie, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę. Wiem, że będziecie ze sobą szczęśliwi. Jesteście dla siebie stworzeni.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Już nigdy nie powtórzy czegoś takiego, nigdy nie posunie się do oszustwa. Może z czasem mama jej wybaczy. Gdy pojawi się wnuczek czy wnuczka...

- Idę sprawdzić, czy wszystko jest jak trzeba. Zaraz do ciebie wracam! - Mama wybiegła z niewielkiej salki na zapleczu kościoła.

Melanie znowu popatrzyła w lustro. Mama uwielbia wnuczka. Gdy w zeszłym roku rozpoczęła się jej walka z rakiem, Melanie uświadomiła sobie,

jak krótkie i jak kruche jest życie. Tym bardziej pragnęła jak najszybciej mieć dziecko.

To marzenie wkrótce się spełni. Zarumieniła się. Odsunęła się od lustra, podeszła do okna i zapatrzyła w zachodzące słońce.

Za chwilę staną się małżeństwem. Po przyjęciu wrócą do domu. Znajdzie się w jego łóżku. Spędzą razem noc. Być może od razu zajdzie w ciążę.

W tej samej chwili na progu pojawiła się mama. Oczy jej lśniły, z trudem powstrzymywała łzy.

- Już czas - powiedziała tylko.

Melanie chwyciła bukiet, ogarnęło ją uczucie paniki.

Dlaczego się tak denerwuje? Zna Bailey'a od lat, on jest jej najlepszym przyjacielem. Odetchnęła lżej. Wszystko będzie dobrze.

Z kościoła już dochodził dźwięk organów.

Nie spodziewała się wielu osób. Zaprosili tylko najbliższą rodzinę. Dopiero na przyjęciu będą dumi.

Tata już czekał. Z czułym uśmiechem ujął ją za rękę.

- Wyglądasz wspaniale, rybko.

- Dzięki, tato.

Wzięła go pod rękę i powoli ruszyli do ołtarza.

Serce biło jej jak szalone, w uszach dudniła krew. I nagle spostrzegła Bailey'a Stał obok księdza. W czarnym fraku wydawał się jeszcze wyższy i smuklejszy. Tylko ten spanikowany wzrok. Wiedziała, że najchętniej natychmiast uciekłyby stąd.

Zobaczył ją. Oczy mu się rozszerzyły, chyba ze zdumienia. Ledwie się powstrzymała, by nie zachichotać. Nie mieściło się jej w głowie, że naprawdę zaraz to zrobią. Czowała, że Bailey myśli dokładnie to samo.

Mrugnęła do niego. Leciutko wygiął usta w uśmiechu, też puścił do mej oko. Po paru minutach byli mężem i żoną.

Pocałunek, którym przypieczętował małżeństwo, dobrze знаła od lat. Lekkie muśnięcie.

- Nie wierzę, że naprawdę to zrobiliśmy - powiedział, gdy już znaleźli się w jego aucie. Szarpnął muszkę, jakby go dusiła. - Przy okazji ci powiem, że całkiem ci do twarzy w tej ślubnej sukni.

- Dzięki. Ty też we fraku wyglądasz nie najgorzej - odwzajemniła komplement

Uśmiechnął się. Już byli na miejscu. Wyłączył silnik, odwrócił się do Melanie.

- Cóż, zrobiliśmy to.

- W połowie - przypomniała. Poczula, że oblewa się rumieńcem. - Na razie oficjalnie uratowałam cię od rozpalonych kandydatek na miss. Teraz ty wypełnij swoją część umowy.

- Mam to zrobić tutaj? Od razu? - droczył się. - Mogę spróbować, ale dźwignia zmiany biegów chyba będzie nam przeszkadzać.

Żartował, jednak widziała, że też jest spięty.

- Zanim pójdziemy na całość, wejdźmy do środka i przywitajmy gości. Nasze mamy sporo się napracowały, by przygotować to przyjęcie.

- Masz rację. - Schował kluczyki i otworzył drzwi. - Chodźmy poudawać szczęśliwych nowożeńców.

No właśnie. To wszystko to tylko udawanie, tylko gra. Bailey wziął ją za rękę i razem weszli do sali w miejskim klubie. Na ich widok rozległy się radosne wołania, posypał się ryż.

Odświętnie udekorowana sala była nie do poznania. Długie stoły nakryte obrusami i zastawione jadłem, zwieszające się z sufitu serpentyny i kolorowe bibułki. Na stole tuż przy wejściu stał szampan i trzypoziomowy tort.

Zespół stroił instrumenty, przy stołach rozbrzmiewał wesoły gwar.

Rozpoczęło się składanie życzeń. Rozradowani goście przekazywali sobie młodą parę z rąk do rąk. Wkrótce Melanie przestała rozpoznawać twarze. Zerknęła na Bailey'a. Też miał niewyraźną minę.

Na szczęście mama pośpieszyła im z pomocą. Pociągnęła w bok najpierw Melanie, potem Bailey'a, i poprowadziła ich do przepięknie udekorowanego stołu.

- Siadajcie tutaj - zarządziła. - Za chwilę zespół zagra pierwszy taniec, specjalnie dla młodej pary.

Usiedli z uczuciem ulgi.

- Już myślałem, że tego nie przeżyję - westchnął Bailey. - Tak mnie wyściskali, że ledwie się trzymam na nogach.

Melanie roześmiała się.

- Chcieli dobrze. - Zmarszczyła czoło, widząc zbliżającego się do nich starszego pana. Niósł dwa kieliszki szampana. - Idzie wujek Jack - szepnęła ostrzegawczo.

Jack Watters, którego zawsze darzyła sympatią, uchodził w rodzinie za ekscentryka. Podszedł i postawił przed nimi szampana.

- Wypijcie - przykazał. - Już jesteście o kilka kieliszków spóźnieni.

- Dzięki, Jack - odezwał się Bailey. Sięgnął po kieliszek i zanurzył usta w szampanie.

Jack klepnął go po plecach.

- Parę wieków temu inaczej to by wyglądało! - zaśmiał się. - Wszyscy by walili w bębny, siedząc pod waszym oknem i czekając, aż skonsumujecie małżeństwo. Ale w dzisiejszych czasach już dawno macie to za sobą.

- Wujku! - zgromiła go Melanie. Bailey roześmiał się.

- Wyluzuj się, Melanie - zareplikował Jack i odszedł. Starła się rozluźnić, lecz nic jej z tego nie wychodziło.

Odtańczyli z Baileyem obowiązkowy pierwszy taniec, pokroili tort. Lecz z każdą chwilą rosło w niej napięcie.

Za to Bailey bawił się coraz lepiej. Z niepokojem patrzyła, jak wlewa w siebie kolejne kieliszki szampana. Oczy mu się skrzyły, stał się bardzo rozmowny. Zawsze się taki robił, gdy za dużo wypił.

Ona też wypiała więcej niż zwykle. Lecz każdy kolejny kieliszek wzmagał w niej napięcie. To stanie się dzisiaj. Na samą myśl, że znajdzie się z Baileyem w jednym łóżku, nerwy napinały się jeszcze mocniej.

Popatrzyła na parkiet, gdzie Bailey tańczył z ciocią Nancy. Już dawno zdjął frak, teraz rozpiął guzik przy szyi.

Zawsze lubił tańczyć, miał świetne wycucie rytmu. Nie to co ona. Źle czuła się na parkiecie, więc unikała tańca. Bailey obtańczył już chyba wszystkie panie. Zebrani powoli zaczęli się rozchodzić.

Przypomniała sobie, że zgodnie z tradycją młoda para powinna wyjść, gdy zabawa jeszcze trwa w najlepsze. Postanowiła wyciągnąć męża.

No tak, przecież jest jej mężem. Popatrzyła na lśniący na palcu pierścionek od jego mamy. Wydawał się zimny i obcy. Tak jak wtedy, gdy go dostała.

Mąż, ale tylko na chwilę. Za to na zawsze pozostaną przyjaciółmi.

Odczekała, aż umilknie muzyka. Podeszła do Bailey'a.

- Chyba powinniśmy się zbierać - powiedziała. - Zwyczaj każe, by młoda para wyszła przed gośćmi.

- Tak mówisz? - Uśmiechnął się promiennie. - No, to powinniśmy się dostosować. - Otoczył ją ramieniem. Ruszyli do wyjścia, po drodze żegnając się z gośćmi i dziękując im za przybycie. Spostrzegła, że Bailey nie stoi na nogach zbyt pewnie. - Może ty poprowadzisz? - zasugerował, gdy już znaleźli się obok auta. Sięgnął do kieszeni po kluczyki. - Nim dojedziemy, dojdę do siebie. Chyba trochę przeholowałem.

- Bardzo chętnie poprowadzę.

Podczas drogi Bailey był wyjątkowo elokwentny. Wyraźnie wypił za dużo.

- Jak się bawiłaś? - spytał. - Bo ja świetnie. Nie sądziłem, że można się tak dobrze bawić na własnym weselu. Ze Stephanie nie robiliśmy wesela. W

ogóle nie nie zrobiliśmy. Gdyby był jakiś bal, pewnie bez końca by mi wypominała, że tańczę ze wszystkimi paniami. Ale ty nie masz o to pretensji, co?

- Nie, nie mam - odparła, nie odrywając oczu od drogi.

- Wiem, jak bardzo lubisz tańczyć.

- I to jest właśnie najlepsze, Mellie. Że oboje się doskonale rozumiemy. - Wyciągnął rękę i klepnął ją po ramieniu.

- Jesteś fantastyczna.

Wcale się tak nie czuła. Gdy zaparkowała pod domem, czuła się raczej jak kłębek nerwów.

Wymarzyła sobie, że straci cnotę z mężczyzną, który obdarzy ją niezmierną miłością. Którego ona sama będzie kochać całym sercem. Tak się nie stało. Wyśniony ukochany nigdy się nie pojawił. Więc zrezygnowała z marzeń i wmanewrowała Bailey'a w ten pokrętny układ.

Wysiedli. Bailey szedł chwiejnym krokiem.

- Chyba nie chcesz, bym przeniósł cię przez próg?

- Chciałabym, gdyby to było prawdziwe małżeństwo rzekła spokojnie, choć w głębi duszy poczuła ukłucie żalu.

- Zanim pójdziemy do sypialni, może zerkniesz do kuchni - powiedział, gdy znaleźli się w domu.

- Do kuchni? Zostawiłeś stos brudnych naczyń jako prezent ślubny? - zapytała

Uśmiechnął się. Miał nieco rozbiegany wzrok. Potem odwrócił się i ruszył w kierunku sypialni.

Melanie poszła do kuchni. Zatrzymała się na widok dziecinnej furki zagradzającej wejście. Tuż za nią siedział Kajtek. Na szyi miał zawiązaną srebrną kokardkę. Gdy zobaczył Melanie, od razu zaczął machać ogonkiem.

- Och, Bailey! - wyszeptwała, pochylając się i podnosząc z podłogi psiaka. Doskonale wiedziała, jak mocno Bailey przeżył śmierć Champa. Po nim nie chciał mieć innego psa.

Wziął Kajtka do domu. Bo wie, że marzyła o psie. Błagała rodziców, lecz nie dali się uprosić. Teraz ma własne mieszkanie, jednak w budynku obowiązywał absolutny zakaz trzymania zwierząt domowych.

Przytuliła szczeniaczka do piersi. Ciepła, mięciutka istotka. Nieoczekiwanie jej lęk gdzieś się ulotnił. Zniknęło napięcie, jakie dręczyło ją przez cały wieczór. Może sprawiło to ciepło tego pieska, może miły gest Bailey'a.

Będzie dobrze, nie ma się czego bać. Pocałowała Kajtka i postawiła go na podłodze. Ruszyła do sypialni.

Zatrzymała się na progu. Jej lęki okazały się całkiem niepotrzebne. Bailey leżał w poprzek łóżka, zmożony snem. Koszulę zdążył rozpiąć tylko do połowy.

Wiedziała, że dużo wypił, ale nie zdawała sobie sprawy, że aż tak dużo. Dlaczego to zrobił? Czasem wypijał wieczorem piwo, ale bardzo rzadko przebierał miarę. Weszła do łazienki, wzięła z niej swoje rzeczy.

W ciągu ostatnich dni przeniosła do domu Baileya prawie wszystko, co mogło się jej przydać w czasie tego krótkiego, oby owocnego, małżeństwa.

Wyszła na korytarz i poszła do gościnnej sypialni. Czuła ciężar na piersi. Zdjęła białą suknię i przebrała się w cieniutką piżamkę.

Nie tak to sobie wyobrażała. Jak ma zająć w ciążę, kiedy Bailey śpi jak zabity?

Po chwili do poczucia rozczarowania dołączyło coś jeszcze. Dziwny, podskórny lęk. Położyła się do łóżka. Ta myśl stawała się coraz bardziej natrętna. Może on tyle wypił, bo przerażała go perspektywa wspólnej nocy?

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeszcze nim otworzył oczy, wiedział, że przesadził. W głowie coś dudniło i ten miarowy rytm był nie do zniesienia. Czuł nieprzyjemną suchość w gardle. I jakiś przykry, metaliczny posmak.

Przebrał wczoraj miarę. I to jak! Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się czuł. Nawet jeśli kiedyś coś podobnego mu się zdarzyło, to od tamtej pory minęły całe lata.

Przez długą chwilę nie otwierał oczu. Leżał nieruchomo, przypominając sobie wydarzenia wczorajszego wieczoru. Jęknął głucho. No tak, stało się to, czego się najbardziej obawiał. Sprawdziły się jego czarne myśli - zawiódł Mellie.

Gdy wczoraj ujrzał ją podchodzącą do ołtarza, ogarnął go lęk. Jeszcze nigdy Mellie nie wydawała mu się taka... powabna. Miedziane, prześwietlone słońcem włosy lśniły ciepłym blaskiem, dopasowana suknia podkreślała figurę i apetyczne krągłości, jakich nawet się nie domyślał.

Tej nocy miał się sprawdzić. Wypełnić swoją część zobowiązania. Tej nocy mieli począć dziecko. Na to liczyła Mellie. Tego się po nim spodziewała.

Co będzie, jeśli to okaże się niemożliwe? Do tej pory nie miał takich problemów. Ale przecież niczego nie można wykluczyć. Co wtedy? Jedno pytanie pociągało za sobą kolejne.

Może jego pieszczoty wzbudzą w niej niechęć? Jak daleko powinien się posunąć? Czy pocałunek to za mało, czy już za wiele? Może poczuje się urażona?

Kotłowało mu się w głowie, pytania mnożyły się jak króliki, wszystko wydawało się coraz bardziej skomplikowane i niejasne. Nie potrafił nad tym zapanować. Więc, by uciszyć niepokój i ukoić nerwy, sięgał po kolejny kieliszek. I przeholował. Nawet nie pamięta, jak dojechali do domu.

Otworzył oczy, usiadł na łóżku. Objął rękami skronie. Głowa mu pęka z bólu. Boże, chyba zaraz zwariuje.

Gdzie jest Mellie? Musi ją natychmiast przeprosić, bez chwili zwłoki. Ależ się zachował! Podniósł się i ruszył do drzwi. Zatrzymał się na progu. Widział stąd wewnątrz gościnnej sypialni. W uchylonej szafie wisiała ślubna suknia. Łóżko nie było poślane.

Tam spała. Noc poślubną spędziła w gościnnej sypialni. Skrzywił się mimowolnie. W głowie mu zadudniło. Biedna Melbę. Należą się jej gorące przeprosiny. Ale najpierw musi wejść pod prysznic.

Strumień gorącej wody podziałał na niego zbawiennie. Już po paru minutach poczuł się dużo lepiej. Dudnienie w głowie prawie ustało. Teraz miał przed sobą najważniejsze - udobruchać Mellie.

Włożył sprane dżinsy i bawełnianą koszulkę. Skierował się do kuchni, skąd dochodził przyjemny aromat świeżo zaparzonej kawy.

Bycie żonatym ma jednak swoje plusy, pomyślał. Kawa już jest gotowa i czeka.

Mellie siedziała przy kuchennym stole, Kajtek podskakiwał zabawnie wokół jej nóg. Bailey przestąpił nad furtką zamocowaną w drzwiach, ograniczającą swobodę szczeniaka. Uśmiechnął się niepewnie do dziewczyny.

- Czyżbym był w psiarni? - zagaił.

- Nie, jesteś w kuchni - odrzekła z nieco przekornym uśmiechem.

Odetchnął z ulgą. Jak to dobrze, że Mellie nie jest obrażalską panienką! Nalał sobie kawy, usiadł przy stole. Ze zdziwieniem spostrzegł, że leżą na nim żółte podkładki pod talerze. Skąd się tu wzięły? Chyba jakieś czary.

- Jedna noc pod moim dachem i już wszystko zaczyna się zmieniać na twoją modłę - zagadnął z uśmiechem.

- Wszystko przed tobą - przekomarzała się. - Dopiero się zdziwisz. Jeszcze nawet nie zaczęłam. Odkąd kupiłeś ten dom, korciło mnie, by coś zrobić, coś zmienić. - Upiła łyk kawy, popatrzyła na niego znad kubka. - Jak tam twoja głowa?

- Gdybyś spytała piętnaście minut wcześniej, to tylko bym zawył. Ale gorący prysznic postawił mnie na nogi. Już czuję się jak człowiek. - Pociągnął łyk kawy, zastanawiając się w duchu, od czego zacząć przeprosiny, by wyszło jak najrzęczniejsz.

Odstawił kubek, ale nie wypuścił go z ręki.

- Mellie... przepraszam za wczorajszy wieczór. Okropnie się czuję z tego powodu. Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

- Aleja wiem. Mniej więcej dwie butelki szampana. Nadal miał minę winowajcy, lecz uśmiechnął się. Naraz jego uśmiech zgasł, bo w oczach przyjaciółki dostrzegł prawdziwy smutek.

- Mellie, wiem, że wczoraj spodziewałaś się po mnie czegoś innego. Czuję się okropnie, że nie stanąłem na wysokości zadania. Spiłem się i padłem.

- Nie ma sprawy - odparła. Wbiła wzrok w resztkę kawy na dnie kubka. - Bailey, wiem, że nie jestem w twoim typie. Zawsze chodziłeś z całkiem innymi dziewczynami niż ja. Nie jestem blondynką, nie jestem super

zgrabna, zresztą sam wiesz, o co mi chodzi. - Nieśmiało podniosła na niego oczy. Policzki jej się zaróżowiły. - Potrafię zrozumieć, że nie czujesz szczególnej chęci. Dlatego pomyślałam sobie, że gdyby zrobić to całkiem po ciemku, mógłbyś wyobrazić sobie, że to nie ja, a ktoś inny.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Z wrażenia zabrakło mu słów.

- Może jeszcze założymy ci na głowę papierową torbę?

- Jeśli myślisz, że tak będzie lepiej - przystała. Nie wierzył własnym uszom.

- Na Boga, Mellie, przecież to był żart! Jakie ty masz o mnie zdanie?

Wzruszyła ramionami, znowu uciekła wzrokiem.

- Po prostu wiem, jakie kobiety ci się podobają. Nie dla mnie konkursy piękności. A właśnie takie dziewczyny są w twoim typie.

Co ona wygaduje? Dopiero teraz uświadomił sobie, jak nisko Mellie siebie ocenia. Dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nie będzie jej wmawiać, że jest olśniewającą pięknoscią, ale jest ładna. Oczy koloru młodej trawy, długie brązowe rzęsy. Miedziane loki spływające na plecy miękką kaskadą, pobłyskujące złocistymi refleksami. Usta w kształcie serduszka.

Zapatrzył się na jej wargi i od razu wróciło wspomnienie zaręczynowego pocałunku. Jej usta były takie ciepłe, tak rozkosznie słodkie. Instynktownie czuł, że domagają się czegoś więcej... Niespodziewanie zapragnął jeszcze raz ją pocałować. Musiał walczyć z pokusą.

- Zaczynam łapać. Sądziś, że wypilem tak dużo, żeby bez oporów przespać się z tobą. Bo na trzeźwo nie mogłem znieść takiej perspektywy.

Znowu odwróciła wzrok.

- Miałam takie myśli - przyznała cicho. Przepełniły go mieszane uczucia. Ta dziewczyna jest mu tak bliska. Zawsze była przy nim w najgorszych i w najważniejszych momentach. Była dla niego oparciem, dodawała otuchy, kzepiła. A w chwilach radości cieszyła się razem z nim.

Wstał od stołu, wyciągnął do niej rękę.

- Mellie.

Popatrzyła na niego z lekkim niepokojem. Zmierzyła go czujnym spojrzeniem.

- Słucham?

- Chodź do mnie. - Wziął ją za rękę i pociągnął, by wstała z krzesła. Działał z zaskoczenia, nie dając jej czasu na zastanowienie. Przyciągnął ją do siebie i odszukał jej usta.

W pierwszym momencie chyba nie wiedziała, co się stało. Nie poruszyła się, nie zaprotestowała. Nie wypuszczał jej z objęć. Zaczął całować coraz

zarliwiej. Mellie poruszyła się, czuł, że powoli się rozluźnia. I że wzbiera w niej inne napięcie.

Pachnie jak polne kwiaty, jak łąka rozgrzana w słońcu. Przez cienką tkaninę sukienki czuł jej szczupłe, sprężyste ciało. I łagodną krągłość piersi.

Od dawna był sam. Co najmniej rok z nikim się nie spotykał. Ostatnią dziewczyną była Kathryn. Przemknęła przez jego życie. Namiętność wybuchła, przerodziła się w krótki romans. Nie trwało to dłużej niż dwa tygodnie.

Ale teraz nie myślał o innych dziewczynach. Pochłaniała go ta, którą miał w ramionach. Jej bliskość budziła w nim ogień. I szaleńcze pragnienie, by przekonać ją, że jest atrakcyjną, seksowną kobietą. Udowodnić jej to.

Oderwał od niej usta, popatrzył w oczy. Bez słowa znowu ujął jej dłoń. Była lodowato zimna. To go zaskoczyło.

- Chodź ze mną - powiedział.

- Dokąd? - zapytała. Trochę brakowało jej tchu. Uśmiechnął się.

- Myślę, że nadszedł czas, bym wywiązał się z mojego zobowiązania.

W oczach Melanie zamigotał lęk.

- Bailey, ale przecież teraz jest dzień. Z rozbawieniem uniósł brew.

- A to w czymś przeszkadza?

- No nie... ale może... może po ciemku byłoby ci łatwiej. Mógłbyś udawać...

Dotknął palcami policzka dziewczyny.

- Mellie, niczego nie muszę udawać. - Nim zdążyła odpowiedzieć, pociągnął ją w kierunku korytarza. Prowadził ją do sypialni. Nie wypuszczał z dłoni jej ręki, która z każdym krokiem stawała się coraz zimniejsza. - Jeśli chcesz, możemy wszystko odwołać. Chcesz się wycofać? - zapytał miękko, gdy weszli do sypialni i zatrzymali się w nogach łóżka.

Patrzyli na siebie.

- Nie - odparła szybko. - A ty?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zamknął jej usta pocałunkiem. I znowu zdumiała go fala gorąca bijąca od dziewczyny. Nie miał pojęcia, że kontakt z nią potrafi tak oszołomić. Jest gorąca, zmysłowa, urzekająca...

Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. Wreszcie Mellie zarzuciła mu ręce na szyję przylgnęła do niego mocniej. Tysiące razy witali się i żegnali, wymieniali buziaki i zdawkowe uściski, lecz ich znajomość nigdy nie wykroczyła poza koleżeńskie układy. Nie patrzył na nią inaczej niż na dobrą kumpelkę. Nie widział w niej kobiety. Nagle otworzyły mu się oczy. I zaczął dostrzegać to, co do tej pory było dla niego niewidoczne.

Jego mała Mellie już dawno nie była rudą chudziną, jaką pamiętał. Pod cienką sukienką czuł ciało kobiety, ponętnej kobiety. Miękka linia bioder, łagodnie wygięte plecy, pełny biust... Przesunął dłońmi po jej plecach i szyi, zatrzymał rękę. Pod palcami czuł suwak sukienki. Mellie wstrzymała oddech.

Zaczął wodzić ustami po jej szyi i karku. Mellie znowu głośno nabrała powietrza, ten dźwięk jeszcze wzmógł jego żar. Lęk, że jego pieszczoty nie są jej miłe, rozwiął się bez śladu. Już wiedział, że jest inaczej.

Pociągnął suwak w dół. Ku jego zaskoczeniu Mellie przesunęła dłońmi po jego plecach. Czyli nie zamierza pozostać biernym obserwatorem.

Zapomniał o wątpliwościach i zastrzeżeniach, jakie budziła w nim ta umowa. Już nie pamiętał, że cały ten pomysł uważał za z gruntu zły. Zapomniał, że Mellie jest jego najlepszą przyjaciółką.

Wiedział tylko jedno - pragnie jej. Tutaj, natychmiast. I będzie jego, chyba że sama w ostatniej chwili zrezygnuje.

Bała się tej chwili. Tysiące razy wyobrażała sobie, jak to będzie, co się wtedy stanie. I naraz jej rozterki zniknęły. Nie potrzebowała słów, nie czekała na zapewnienia - wystarczyły pocałunki, uścisk jego ramion, dotyk rąk Bailey'a błędzących po jej ciele. Instynktownie wiedziała wszystko. Pragnie jej. Chce się z nią kochać.

Zanurzyła się w otaczającym ją znajomym zapachu. Zna go tak dobrze, od tylu lat. To Bailey, stary druh, najlepszy facet pod słońcem.

Rozluźniła się. Jest z nim, nic złego jej nie grozi. Na niego może się śmiało zdać. Choć to trochę dziwne, wcale nie czuje się skrepowana czy zażenowana.

Rozpiął suwak, zsunął sukienkę z jej ramion. Miękka tkanina opadła na podłogę. Została tylko w białej jedwabnej bieliźnie.

Bailey cofnął się o krok, ściągnął przez głowę podkoszulek. Nie odrywał oczu od Melanie.

- Tak? - zapytał, zniżając głos.

Ujęło ją to pytanie. Dawał jej szansę, by się wycofała. Nie chciał niczego na siłę. Skinęła głową, zarzuciła mu ręce na szyję.

Jeszcze niedawno zastanawiała się, czy w ich związku znajdzie się miejsce na grę wstępną. W końcu cel jest dokładnie określony. Mają począć dziecko, po to ten cały ambaras. Bailey z pewnością sprawdzi się w tej roli. Nie powinna się niczego obawiać.

Przyciągnął ją do siebie, odszukał usta. Jego dotyk rozpałał zmysły, bliskość upajała. Podała się pieszczotom, z radością odkrywając świat doznań, jaki dotąd był dla niej zamkniętą tajemnicą. Ogarnęło ją cudowne

uniesienie, gdy położyła dłonie na jego plecach, najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej. Napięte mięśnie grały pod skórą, a z piersi Bailey'a wyrwał się cichy okrzyk.

Świat wirował, każda chwila stawała się małą wiecznością. Każdą chciała zatrzymać, zapamiętać na zawsze.

- Mellie? - Bailey znieruchomiał. Otworzyła oczy.

- Nie, proszę - wyszeptała, przytrzymując go i przyciągając do siebie. - Chcę tego.

Patrzył na nią w milczeniu. Wreszcie zamknął oczy.

Słyszała bicie jego serca. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Niczego nie musiała się uczyć. Wszystko było proste, naturalne. I piękne.

Uśmiechnęła się, widząc promienie słońca ozłacające jego plecy. Opalona skóra jaśniała ciepłym blaskiem. Jak wtedy, nad stawem. Jego oczy były błękitne jak nigdy.

Leżeli spleceni w uścisku. Nie poruszali się. Nagle Bailey odwrócił się na bok i wstał. Melanie pośpiesznie okryła się kołdrą.

- Powinnaś mi była powiedzieć. - Jego ton ją zmroził. Wiedziała, o czym mówi.

- A co to by zmieniło?

Już miał na sobie dzinsy. Drobną mięśnię na policzku pulsował szybko.

- Byłaby pewna różnica, zapewniam cię.

Nie czekał na odpowiedź. Chwytał z podłogi podkoszulek i zniknął za progiem. Po chwili trzasnęły frontowe drzwi.

Radosne uniesienie, jakie ją przepełniało, rozwiało się bez śladu. Wzdrygnęła się. Ten mięśnię na policzku widać tylko wtedy, gdy Bailey jest porządnie zeżłony.

Powoli podniosła się z łóżka. Musi z nim porozmawiać, jakoś go udobruchać. Ubrała się szybko. Wiedziała, gdzie go szukać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odmierzył porcję pokarmu i wsunął miskę do klatki szczeniaka, Melanie nazwała go Biscuit. Popatrzył na psiaka. Powinien się uspokoić. W środku aż się gotował ze złości.

Dlaczego mu nic nie powiedziała? Przecież powinna Skąd mógł wiedzieć, że to jej pierwszy raz? Gdyby go uprzedziła, w życiu by się nie zgodził. Z mety by skreślił ten cały idiotyczny układ.

Potrząsnął głową. Jak to możliwe? Przecież chodziła z chłopakami, a znajomość z Randym Sinclairem wyglądała na bardzo poważną. Oboje już studiowali. Był pewien, że łączy ich bardzo bliska zażyłość. Celowo go oszukała, ukryła przed nim prawdę. I wmanewrowała w tę niezręczną sytuację.

Jeszcze niedawno dałby głowę, że wie o niej wszystko. Że Melanie niczym go nie zaskoczy. A tu proszę! W dodatku to było o wiele bardziej przyjemne i porywające, niż byłby w stanie sobie wyobrazić, choć dodatkowo go irytowało.

Przeszedł do następnej klatki. Siedzący w niej sznaucek był dziwnie osowiały. Przyjrzał mu się uważnie. Mimo najlepszych chęci nie zdołał uratować trzech piesków, były zbyt wycieńczone i chore. Nie chciałby stracić więcej zwierząt.

- Bailey?

Nie odwrócił się. Z rozmysłem. Nadal odmierzał racje pokarmu.

- No dobrze, nie bądź taki naburmuszony. Widzę, że znowu się nabzdyczyłeś. Znam te twoje nastroje i nie zamierzam się nimi przejmować - powiedziała, podchodząc bliżej. Znowu owionął go znajomy zapach jej perfum.

- Nie mam żadnych nastrojów - odciął się, nie odwracając głowy.

Melanie roześmiała się. Zesztywniał. Do tej pory jej śmiech nigdy nie wydawał mu się taki prowokujący.

- Powinnaś mi była powiedzieć - powtórzył. Dopiero teraz się odwrócił. Popatrzył na nią. Najwyraźniej bardzo się śpieszyła. Boso, w rozpiętej sukience, ze spletaną masą płomiennych loków. - Powiniennem znać prawdę. Gdybyś mi powiedziała, za nic bym tego nie zrobił.

- Bailey, nie przesadzaj. - Wzięła się pod boki. - Co ty opowiadasz? Ja cię nie okłamałam.

- Mówiłaś, że ciebie i Randy'ego łączą bliskie stosunki. Melanie pokręciła głową, miedziane loki zatańczyły wokół jej twarzy.

- Niczego takiego nie mówiłam. Ty to sobie dopowiedziałeś. Wiedziałeś, że się z nim spotykam. I dośpiewałeś sobie resztę. Ale czy teraz to ma jakieś znaczenie?

- Teraz to już nie robi różnicy. Co się stało, to się nie odstanie. - Skrzywił się. - Ale gdybym wcześniej wiedział, nigdy bym się nie zgodził.

- Już to powiedziałeś. Ale wytłumacz mi, dlaczego? - Podeszła krok bliżej, położyła mu rękę na ramieniu. Miała ciepłe palce. Mimowolnie przypomniał sobie ich dotyk, gdy przesuwała dłońmi po jego plecach. Cofnął się raptownie, uwalniając się od jej ręki. Przeciągnął palcami po włosach.

- Mellie... - zaczął z zakłopotaniem. - Pierwszy raz jest dla kobiety bardzo ważny. Podobno zapamiętuje się to na całe życie. Dlatego powinien to być ktoś, kogo się kocha, ktoś wyjątkowy.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś dla mnie kimś wyjątkowym i powinnam o tobie zapomnieć?

Westchnął ciężko. Domyślał się, że celowo tak się z nim przekomarza, by wyrwać go z przynębienia. I żeby przestał się na nią gniewać. Sam nie bardzo wiedział, czemu aż tak się przejął. I skąd to uparte poczucie, że w jakimś sensie go zdradziła, skrywając przed nim prawdę.

Zabawne. Jeśli się nad tym zastanowić, to właściwie nigdy nie rozmawiali o seksie. Przez lata nie mieli przed sobą sekretów, dzielili się przemyśleniami na wszystkie tematy. Tylko ten jeden jakoś omijali.

- Bailey. - Znowu położyła mu dłoń na ramieniu. Jej oczy płonęły zielonym blaskiem, wpatrywały się w niego żarliwie. - W moim życiu nie ma nikogo wyjątkowego,żądanego mężczyzny poza tobą. Naprawdę wiedziałam, że z tobą będzie dobrze, najlepiej. Zresztą - opuściła rękę - jak miałam ci to powiedzieć? W jakim momencie? Tak po prostu, od niechcenia? - Urwała na moment. - Wyobraź sobie, że mówię: Bailey, poczęstuj się jeszcze pizzą. A wiesz, przy okazji, to jestem dziewczicą.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Rozbroiła go. Poza tym sam miał podobne myśli. Znowu spoważniał. Potargał palcami włosy.

- Mam tylko nadzieję, że to niczego nie skomplikuje między nami - wydusił wreszcie. - Wiesz, co mam na myśli... - Uciekł wzrokiem.

Czuł na sobie jej spojrzenie. Melanie roześmiała się.

- Bailey, czego ty się tak panicznie boisz? Że co, że zaraz się w tobie śmiertelnie zakocham? I będę błagać, byś nigdy mnie nie opuścił, byśmy już na zawsze byli razem?

Schyliła się, wzięła z psiej miski chrupkę i wycelowała w Baileyę.

- Chłopie, opamiętaj się. Za dobrze cię znam, bym chciała kogoś takiego za męża.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo na zewnątrz zachrzęścił żwir na podjeździe. Ktoś przyjechał. Melanie raptownie podskoczyła do Bailey'a. Miała przerażoną minę.

- Zapnij mi suwak! - zawołała z przestachem i szybko odwróciła się do niego tyłem.

Zapinając suwak, nie mógł nie dostrzec gładkiej skóry na szczupłych plecach dziewczyny. Wąska kibić przecięta skąpym paseczkiem biustonosza. Przez mgnienie walczył z szaleńczą pokusą, by przygarnąć ją mocno do siebie, przesunąć dłońmi po tych promieniujących ciepłem plecach.

Poczuł złość na siebie. Skąd mu się wzięły takie pomysły? Pośpiesznie zaciągnął suwak. Melanie nerwowo wygładziła włosy, starając się doprowadzić je do porządku.

Nie zdążyli od siebie odskoczyć, gdy do stodoły wbiegła mama Bailey'a.

- Henry, są tutaj! - zawołała triumfalnie. Uśmiechnęła się szeroko. - Jak miewają się dzisiaj nasi kochani nowożeńcy? - zapytała pogodnie. Podeszła do Melanie i czule poklepała ją po policzku. - Jesteście tacy promienni! Właśnie tak być powinno. - Cofnęła się do wejścia, wyrzała na dwór. - Henry! - krzyknęła donośnie. - Przecież ci mówiłam, że tutaj na pewno ich znajdziemy.

Bailey skrzywił się mimowolnie. Mama potrafi być niemożliwa. Czasami jest wprost nieznośna. Stojąca na progu Luella odwróciła się do nich.

- Przywieźliśmy wasze prezenty ślubne. Ale się tego uzbierało! Aż się zdziwicie.

Sięgnęła do torebki wyjęła z niej kilka zapisanych kartek i podała je Mellie.

- Zrobiliśmy listę wszystkich prezentów, żebyście wiedzieli, co od kogo dostaliście. Będzie łatwiej odpisać i każdemu podziękować.

Mellie wzięła od niej spis. Do stajni wszedł ojciec Bailey'a.

- Synu, teraz idź i zabierz się za rozładowanie samochodu - Luella nikomu nie dała dojść do głosu. - Ojciec ci pomoże, ale bardzo cię proszę, żebyś nie pozwolił mu niczego dźwigać. Jeszcze nadwyreży sobie kręgosłup i dopiero będę z nim miała! Sam wiesz, jaki potrafi być meczący, gdy coś mu dolega. Po prostu wymarzony pacjent!

- Może dlatego, że tobie daleko do cierplivej i oddanej pielęgniarki - odparował Henry.

- Idę wypakować samochód - przerwał im Bailey. Nie miał ochoty wysłuchiwać nie kończących się docinków. A znając rodziców, wiedział, że prędko nie przestaną.

- To ja pójdę do domu i nastawię ekspres - zaofiarowała się Melanie.

- Z przyjemnością napijemy się kawy - podchwyciła Luella Podążyła za Melanie do kuchni.

- To wszystko dla nas? - zdumiał się Bailey, gdy podeszli do załadowanej po brzegi półciężarówki.

Henry skinął głową.

- To wasze prezenty. Wszyscy w miasteczku bardzo was lubią. - Uśmiechnął się. - Jestem naprawdę dumny, synu. Z ciebie, z tego, jak się tu urządziłeś. - Obrzucił wzrokiem posiadłość Bailey'a.

Baileyowi zrobiło się ciepło na sercu. Tata nie rzucał słów na wiatr, rzadko zdobywał się na pochwały. Klepnął ojca po plecach.

- Chodźmy wyładować te rzeczy. Tylko, tato, bardzo cię proszę, żebyś się nie brał za nic ciężkiego. Dobrze wiesz, że mama mnie udusi, jak coś takiego zobaczy.

Henry uśmiechnął się.

- Masz całkowitą rację.

Minęło dobre pół godziny, nim wszystkie paczki zostały wniesione do domu i umieszczone w wolnej sypialni. Dopiero wtedy ojciec i syn dołączyli do pań popijających w kuchni kawę.

I znowu było jak zawsze. Bailey miał już serdecznie dość. Czy oni nie mogą choć na chwilę przestać? Muszą spierać się o byle drobiazgi? Dyskutować zawzięcie, czy jutro będzie ładnie, czy spadnie deszcz. Albo jaki pies najlepiej nadaje się do domu. Każde koniecznie musi postawić na swoim. Tak jakby to była sprawa życia i śmierci.

Te ich ciągłe kłótnie towarzyszyły mu od dziecka. Nie znosił tego przelewania z pustego w próżne. Tym bardziej był zszokowany, gdy uświadomił sobie, że jego kontakty ze Stephanie wyglądają dokładnie tak samo. Jakby powtarzali wyuczoną lekcję. Spierali się na temat pory posiłków, nie mogli się dogadać, kiedy iść spać. Każda bzdura była pretekstem do kolejnych dyskusji. Gdy w końcu Stephanie go zostawiła, niemal odetchnął z ulgą.

Poprzysiągł sobie wtedy, że już nigdy więcej sienie ożeni.

Miał dość takiego życia, tej nieustającej szarpaniny skazanych na siebie ludzi.

Rodzice posiedzieli z godzinę. Gdy odjechali, Bailey zjadł z Melanie szybki lunch i wrócił do kliniki. Ona miała zająć się rozlokowaniem prezentów.

Aż do kolacji nie wychodził ze stoły. Przy szczeniakach było sporo roboty, potem nadrabiał zaległości w papierach.

Przez całe popołudnie przypominał sobie wydarzenia dzisiejszego dnia. I rozmowę, jaką odbyli tuż przed przyjazdem rodziców.

Chciał kilka rzeczy wyjaśnić od razu. Nawet nie tyle chciał, co musiał. By nie robiła sobie żadnych nadziei. Owszem, jest jej pierwszym mężczyzną, ale nie chce być również ostatnim. To odpada. Sam nie wiedział, dlaczego tak zdenerwowało go jej oświadczenie, że wcale by go nie chciała za męża.

Wchodząc do domu, znowu wrócił myślą do porannej rozmowy. Już od progu poczuł smakowity zapach włoskiego sosu pomidorowego. Chyba z mięsnymi klopsikami.

- Hm, jak tu wspaniale pachnie. - Z przyjemnością wciągnął apetyczny zapach. Zamknął drzwi.

- To kolacja! - zawołała Melanie.

Podążył za jej głosem prosto do kuchni. Przeszedł nad furką zamontowaną w drzwiach. Kajtek, szaleńczo merdając ogonkiem, rzucił się w jego stronę. Bailey pochylił się i podrapał szczeniaczka za uchem.

Mellie odwróciła się od kuchni. Miała zaróżowioną buzię od ciepła bijącego znad płyty.

- Jesteś w samą porę. Akurat zdążysz się umyć, a ja przez ten czas podam jedzenie.

- Super, bo umieram z głodu.

Szybko umył ręce. Mellie krzątała się między stołem a kuchenką. Po kilku minutach wszystko było gotowe. Zasedli na wprost siebie. Na stole pysznił się półmisek spaghetti z klopsikami, obok wielka misa sałaty. Nałożyli sobie spore porcje.

- Jak się mają szczeniaki? - zapytała Mellie.

- Jakoś sobie radzą. Jestem dobrej myśli. Za jakiś tydzień, może dwa, zacznę rozwieszać ogłoszenia. Liczę, że znajdą się chętni, którzy zapewnią im dobre warunki.

- Masz już jakieś plany na jutro? Potwierdził ruchem głowy.

- Na rano już mam umówionych kilku pacjentów - powiedział. - Po południu muszę pojechać do Jessa Manningsa. Coś jest nie tak z jego cielakiem. Prosił, żebym wpadł. A dlaczego pytasz?

- Pomyślałam, że rano pomogę ci przy szczeniakach, a potem pojedę do miasta. Muszę kupić kartki i zacząć pisać podziękowania za prezenty. Potem chciałabym rozpakować parę kartonów z moimi rzeczami. - Otarła z buzi odrobinę sosu. - Nie masz pojęcia, jakie wspaniałe dostaliśmy prezenty. Aż szkoda, że nie możemy ich teraz używać. Niedługo wszystko zwrócimy.

- I całe miasteczko uzna nas za parę nieudaczników -podsumował cierpko. Tańczący pod ich nogami Kajtek zawarczał cichutko, nie mogąc doczekać się kaska z pańskiego stołu.

Melanie popatrzyła na Bailey'a ze szczerym zdumieniem.

- Co ty bredzisz? Zaręczam ci, że wcale tak nie będzie - obruszyła się. - Przeciwnie. Wszyscy będą pełni uznania, że mimo rozstania, nadal się przyjaźnimy. To przecież rzecz godna podziwu. - Nabrała na widelec spaghetti. - Zresztą, może się zdarzy i tak, że znajdę tego wymarzonego mężczyznę, który pokocha mnie na śmierć i życie. Wyjdę za niego i będziemy żyć w nieustającym szczęściu. Bailey prychnął drwiąco.

- No wiesz, Mellie. - Pokiwał głową. - Przez tyle lat kładłem ci do głowy, że nie ma czegoś takiego jak szczęśliwe małżeństwo. Miałem nadzieję, że te moje nauki nie poszły w las. Ale widzę, że jesteś nieuleczalną marzycielką i nadal żyjesz w wyimaginowanym świecie.

Melanie roześmiała się.

- Spokojnie, Bailey, nie bądź taki pewny swego. Jeszcze zobaczysz, że znajdę kogoś, kto mnie pokocha. I ja jego też. Kogoś, kto będzie chciał mieć gromadę dzieci i huśtawkę na ganku - dodała z naciskiem.

Teraz to on się roześmiał. Sięgnął po kolejny kawałek pieczywa czosnkowego.

- Jeśli kiedykolwiek zobaczysz na moim ganku taką huśtawkę, to natychmiast dzwoń po ludzi w białych fartuchach, by odwieźli mnie do najbliższego zakładu dla psychicznie chorych.

- No i sam widzisz, mój słodki Baileyu. To właśnie dlatego jesteś moim najlepszym kumplem, ale nie facetem ze snów - skwitowała.

Bailey skinął głową. Cieszył się, że mimo tego, co między nimi zaszło, ich układ się nie zmienił. Mellie odnosi się do niego tak jak zawsze. Jakoś to będzie. Gdy tylko zajdzie w ciążę, rozstaną się, ale nadal będą się przyjaźnić. Do końca życia.

Skończyli sprzątać po kolacji, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Ja otworzę - zaoferowała się Melanie. Wyszła z kuchni i pobiegła do wejścia.

Otworzyła drzwi i niemal zaniemówiła z wrażenia. Na progu stała SueEllen Trexlor. Uśmiechała się promiennie. W objęciach ścisnęła duże pudło.

- Cześć, Melanie. Przepraszam, że nie byłam wczoraj na waszym weselu, coś mi wypadło. Ale pomyślałam, że sama przyniosę wam mój prezent.

- Naprawdę, przecież nie musiałaś... - zaczęła zaskoczona Melanie.

- Ależ oczywiście, że tak - SueEllen uśmiechnęła się jeszcze szerzej, odsłaniając równe białe zęby. - Ty i Bailey jesteście dla mnie bardzo ważni. Moi najulubieńsi przyjaciele.

Zdumienie odebrało jej mowę. Z SueEllen może zdarzyło się jej zamienić dwa zdania. A tu takie deklaracje! Widać tak bardzo zależy jej na zdobyciu tytułu miss, że próbuje zrobić sobie żonę jurora.

Cofnęła się, przepuszczając gościa do środka. SueEllen podeszła do stolika przed kanapą, postawiła na nim swoje pudełko.

- Uff, ależ to ciężkie!

Melanie popatrzyła na nią ciekawie. Dzinsowa minispódniczka, obcisły top odsłaniający płaski, opalony brzuch.

- Bailey! - zawołała, zastanawiając się, gdzie też on zniknął. - Mamy gościa.

Bailey wynurzył się z dalszej części korytarza. Domyślała się, że chciał się schronić w sypialni. Nic z tego. Nie ma mowy, by wzięła żadną sławę ślicznotkę wyłącznie na siebie. Niech Bailey też ją zabawia.

- Zobacz, kto nas odwiedził - zagaiła.

- Witam, SueEllen. - Bailey uśmiechnął się niewyraźnie. Podeszedł do Melanie i stanął tuż obok niej, jakby podświadomie szukał obrony przed rozpaloną dziewczyną.

- Cześć, Bailey. - Błysnęła uśmiechem. - Odnajdujesz się w roli świeżo upieczonego małżonka? Jak ci się żyje po ślubie?

- Dobrze, dziękuję. - Otoczył Melanie ramieniem. - Jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy.

SueEllen klasnęła w dłonie.

- To cudownie! Bardzo się z tego cieszę. Nie może być nic lepszego jak szczęście moich ulubieńców. Wspaniale, że jest wam razem tak dobrze!

Ulubieńców? Melanie ledwie się powstrzymała, by nie wybuchnąć śmiechem. Dla SueEllen liczyła się tylko jedna osoba - ona sama.

- Postanowiłam sobie, że znajdę dla was coś specjalnego - ciągnęła dziewczyna. Podeszła do pudła. - Poszły na to prawie wszystkie moje napiwki, ale dla was jestem gotowa na wyrzeczenia.

- SueEllen, naprawdę nie powinnaś nam niczego kupować - zaproponował Bailey. Dziewczyna rozdarła papier, którym było owinięte pudło.

- Nie mów bzdur - zareplikowała. Pochyliła się nad stolikiem. Spod króciuteńkiej spódniczki wyrzały brzegi jaskraworóżowych majteczek.

Melanie zerknęła na Bailey'a. Była ciekawa, czy widzi to samo, co ona. Z napięciem wpatrywał się w wejściowe drzwi, jakby zastanawiał się, jak pozbyć się nieproszonego gościa.

Dziewczyna wyciągnęła z pudła coś, co wyglądało na ogromną, bogato zdobioną psią miskę. Zepchnęła łokciem niepotrzebne pudło, by zrobić na stoliku więcej miejsca. Ustawiła misę na samym środku.

- Gdy tylko to zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to coś dla was — oznajmiła z dumą. Wyjęła z pudełka jeszcze jakieś drobiazgi.

- Dla mnie na pewno nie - wymamrotała pod nosem Melanie.

Bailey szturchnął ją w bok, by się uciszyła. Widziała po jego minie, że bardzo się stara, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Melanie, bądź tak dobra i przynieś mi duży dzbanek wody, dobrze? - poprosiła SueEllen.

- Dzbanek wody? - zdumiała się. SueEllen skinęła głową.

- Zaraz zobaczysz, do czego jest potrzebny.

- No dobrze.

Wysłała do kuchni. Napełniła wodą spory dzbanek, wróciła do salonu. Popatrzyła na stół i naraz wszystko stało się jasne.

Fontanna na stół. W życiu nie widziała podobnego szkaradztwa. Na środku misy wznosiła się piramida usypana z ceramicznych psich chrupek. Fajansowy owczarek niemiecki szczyrzył zęby w obłąkańczym uśmiechu. Na brzegach misy błyszczały cztery hydranty przeciwpożarowe.

SueEllen wlała do środka cały dzban wody, wetknęła wtyczkę do kontaktu. Z czterech hydrantów strzeliła woda. Rozpryskując się na owczarku, z pluskiem spadała w dół.

SueEllen z zachwytem klasnęła w dłonie.

- Czyż to nie jest fajne?

- Brak mi słów - odezwała się Melanie.

- SueEllen, naprawdę nie powinnaś tego robić - powtórzył Bailey.

- Ależ, co ty opowiadasz! No dobrze, już się stąd zmywam. Domyślam się, że macie ciekawsze rzeczy do roboty niż zabawianie gościa. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Naraz zatrzymała się, jakby coś ją tknęło. Odwróciła się do Melanie. - Mellie, zadzwoń do mnie, jak znajdziesz chwilkę. Może wybierzemy się razem na lunch? - rzuciła lekko. Odwróciła się i wyszła.

- Nawet nie pamiętam, byśmy ze sobą kiedyś rozmawiały, a teraz proszę, chce umówić się ze mną na lunch - Melanie nie posiadała się ze zdumienia.

- To tylko jeden z plusów bycia żoną jurora konkursu piękności - z uśmiechem wyjaśnił Bailey.

- A jakie są te inne? - zapytała, unosząc brew. Bailey wskazał ręką na fontannę.

- Na przykład dzieła sztuki do naszego salonu. Melanie wybuchnęła śmiechem.

- Okropne. Myślisz, że naprawdę musimy trzymać to na stoliku w salonie? ,

- Nie. Zabiorę to do gabinetu. Tam będzie bardziej na miejscu. - Wsunął rękę do kieszeni. - To jak, chcesz pooglądać film przed pójściem spać?

- Bardzo chętnie - przystała. Wraz z zapadającym zmrokiem i odejściem SueEllen ogarniały ją coraz bardziej niespokojne myśli. Czowała się dziwnie spięta. Lękała się nadchodzącej nocy, tego, co może nastąpić. Pierwsza wspólna noc. W jego sypialni, w jednym łóżku.

Poszła do kuchni, by zabrać Kajtka. Gdy weszła z pieskiem do salonu, Bailey siedział w swoim fotelu, z pilotem w dłoni. Znalazła sobie wygodne miejsce na kanapie, Kajtek przycupnął na jej kolanach.

Melanie daremnie próbowała skupić się na filmie. W głowie kłębiło się jej tyle myśli, pojawiały się kolejne pytania, na które nie знаła odpowiedzi.

Czy między nimi do czegoś dojdzie? Wprawdzie chciałyby jak najszybciej zajść w ciążę, jednak trochę się bała. Może dziś powinna się wstrzymać? Może to za szybkie tempo?

Jeszcze nigdy nie spała w jednym łóżku z mężczyzną. Ciekawe, czy Bailey chrapie? A może będzie zabierać jej kołdrę? Czy lubi się przytulać? Z każdym pytaniem jej zdenerwowanie wzrastało. Pod koniec filmu była już kłębkim nerwów.

Bailey natomiast był zupełnie rozluźniony. Zaśmiewał się z komedii, bardzo dobrze się bawił. Powoli jej napięcie zaczęło ustępować.

Śmiał się szczerze, zaraźliwie. To jego śmiech zwrócił uwagę Melanie, gdy mieli po siedem lat. Już wtedy jej się podobał. Od razu sama się uśmiechnęła.

- To co, idziemy spać? - zapytał, kiedy film dobiegł końca.

- Jasne - odrzekła i podniosła się z kanapy. Wzięła na rękę Kajtku, by wyprowadzić go na dwór. Psiakowi szło coraz lepiej, ale jeszcze miał pewne kłopoty. Potem zaniósła go na jego miejsce do kuchni. Gdy wróciła do salonu, Bailey już tam nie było. Telewizor był wyłączony. Znowu poczuła niepokój.

Poszła do sypialni. Bailey leżał w łóżku. Pokój oświetlało łagodne światło nocnych lampek.

- Mam nadzieję, że nie podjadasz w łóżku krakersów, nie mówisz przez sen ani nie robisz innych dziwnych rzeczy? - zapytał.

Roześmiała się.

- Przed chwilą zadawałam sobie dokładnie te same pytania - przyznała. - Tylko chodziło o ciebie - uściśliła.

- Nie mam żadnych takich nawyków - odparł. Zgasił lampkę po swojej stronie. Teraz paliła się tylko jedna, oblewając sypialnię ciepłym, kameralnym blaskiem.

Przypomniała sobie, że jej rzeczy do spania zostały w gościnnej sypialni. Poszła po nie, a potem od razu ruszyła do łazienki.

- Bailey... - Zatrzymała się na progu. Zawahała się. - Czy dzisiaj będziemy...

- Nie - przerwał jej w pół zdania. - Wiem, że zależy ci na czasie, ale dzisiaj powinniśmy dać sobie spokój. To mogłoby nie być dla ciebie przyjemne - dodał, unikając jej wzroku. Tak na wszelki wypadek.

- Masz rację - przyznała. - Za kilka minut będę gotowa.

- Zniknęła za drzwiami łazienki.

Wzięła szybki prysznic, potem wytarła się i splotła włosy w warkocz. Jeszcze tylko cieniutka piżamka z beżowego jedwabiu: króciutka góra na ramiączkach i skąpy dół. Idąc do sypialni, wzięła ze sobą buteleczkę ulubionego mleczka do ciała

Bailey już chyba spał. Leżał wyciągnięty na brzuchu, z twarzą odwróconą w bok.

Mellie wślizgnęła się do łóżka podciągnęła w górę poduszkę, by oprzeć się o nią plecami. Pół siedząc, otworzyła butelkę z mleczkiem i zaczęła rozsmarowywać kosmetyk na ramionach.

W powietrzu rozszedł się słodki zapach polnych kwiatów. Melanie wycisnęła porcję mleczka na nogi. W tym momencie Bailey odwrócił się i popatrzył na nią.

Na mgnienie jego oczy zapłonęły. Przynajmniej tak się jej zdawało.

- Co ty robisz?

- Zawsze przed snem smaruję się mleczkiem. To nawilża skórę i wygładza ją - wyjaśniła.

- Masz wystarczająco gładką skórę - powiedział. Była niemal pewna, że jest zirytowany.

- Przeszkodziłam ci? - Zamknęła butelkę, odstawiła ją na nocną szafkę. - Przepraszam.

- Wcale mi nie przeszkodziłaś. Po prostu byłem ciekaw, co robisz. - Oczywiście miał ciemniejsze niż zwykle. - Zawsze wkładasz do łóżka taki strój?

Przez chwilę patrzyła na niego ze zdziwieniem. Nie miała pojęcia, co mu się stało. Przyglądał się jej tak, jakby widział przed sobą przybysza z kosmosu.

- Nie podoba ci się mój strój? - zapytała.

- Nie - odpowiedział szybko. Chyba się lekko zaczerwienił. - Po prostu się zdziwiłem. Myślałem, że masz inny styl, że wolisz spać w bawełnianym podkoszulku.

- W takim razie się pomyliłeś - skwitowała. Zgasiła lampkę. Sypialnia pogrążyła się w ciemności. - To jedna z moich mrocznych, głęboko skrywanych tajemnic - powiedziała, zniżając głos.

- To znaczy?

- Że wbrew powszechnemu mniemaniu, uwielbiam jedwabie i atłasy. A jak jest z tobą? Masz jakieś ukryte sekrety, których nikomu nie zdradzasz?

- Owszem. Nie znoszę jałowych dyskusji, gdy próbuję usnąć.

- Och, bardzo cię przepraszam - wycofała się natychmiast. Dotknęły ją jego słowa, ale starała się nie zwracać na to uwagi. - Domyślam się, że na tym nie koniec. Ukrywasz przed ludźmi, że tuż przed zaśnięciem stajesz się okropnym zrzędą - dodała uszczypliwie. Otuliła się kołdrą i odwróciła do niego tyłem.

Nie miała pojęcia, co go tak rozzłościło. Ale jeśli zawsze przed snem jest taki czepliwy, to całe szczęście, że ich małżeństwo już wkrótce się zakończy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Budził się powoli, otulony nieznanym, kwiatowym zapachem. W ramionach miał coś ciepłego i miłego. Coś delikatnie łaskotało go po twarzy.

Otworzył oczy. Za oknem wstawał świt, delikatnie rozjaśniając ciemność spowijającą sypialnię. Mellie, odwrócona do niego rylem, spała tuż obok, przytulona mocno. Pasemka włosów wymknęły się z jej warkocza. To one łaskotały go po twarzy.

Obejmował ją ramieniem, przygarniając do siebie jak najbliżej. Nie przypominał sobie, by w nocy przesunął się na jej stronę czy przytulał ją, jednak najwyraźniej tak było.

Chciał wstać, lecz nadal trwał nieruchomo. Spała tak słodko, że nie miał serca jej budzić. Zamknął oczy i wrócił myślami do wczorajszego wieczoru.

Gdy poczuł zapach mleczka, którym się smarowała, odwrócił się z ciekawości. By zobaczyć, co ona robi. Widok, jaki zobaczył, poraził go. W tym seksownym jedwabnym stroju wydała mu się zupełnie inną osobą.

Zawsze chodziła w dżinsach i bawełnianych koszulkach. Jeśli już czasami wkładała sukienkę, to zawsze luźną, ukrywającą figurę. A teraz okazuje się, że lubi jedwabie i atłasy.

Chyba dlatego zachował się jak gbur. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ma obok siebie kogoś obcego, kogo wcale nie zna. Dziwne...

Mellie spała, oddychała równo. Czuł bijące od niej miłe ciepło, wdychał jej zapach. To działało na zmysły. Postanowił jednak wstać.

Ostrożnie, by jej nie obudzić, cofnął ramię i delikatnie wysunął się spod kołdry. Mellie nie poruszyła się. Na palcach poszedł do łazienki.

Stojąc pod gorącym strumieniem, znowu przypomniał sobie Mellie, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w tej skąpej piżamce.

Był zły na siebie. Ich umowa jest święta. Każde ma wyznaczoną rolę. Nie ma miejsca na uczucia, tym bardziej dzikie pragnienia. I o tym musi stale pamiętać.

Nic takiego nie ma prawa się więcej powtórzyć. To zwykły przypadek, niekontrolowana reakcja. Ma zrobić swoje, to, do czego się zobowiązał. I nic więcej. Uspokojony, wyszedł spod prysznicza.

Ubrał się. Mellie nadal spała. Po cichutku wyszedł z sypialni i poszedł do kuchni, by nastawić kawę.

Ekspres pyrkotał cicho. Bailey stanął przy kuchennym oknie wychodzącym na tył domu. Zapatrzył się przed siebie. Lubił tę wczesną porę, gdy dopiero budzi się dzień. W świetle brzasku wszystko stawało się

bardziej wyraziste. A potem pierwsze promienie słońca zaczynały oblewać świat jasnym blaskiem - zieleniła się trawa, złociły jabłonie i czereśnie, nawet stojąca w oddali stara szopa zaczynała wyglądać jak z bajki.

Pokochał tę posiadłość. Dom i przynależny do niego spory kawał ziemi. Długo się wahał, nim zdecydował się na kupno, ale nie żałował. Dobrze, że zaryzykował. Ma swoje miejsce na ziemi, dobrze mu tutaj. Praca też idzie świetnie. Jako jedyny weterynarz w Foxrun stale ma ręce pełne roboty. I doskonale widoki na przyszłość.

Usiadł przy stole. Pił kawę, gdy do kuchni weszła Melanie. Miała starannie splecione włosy, dżinsy i zielony podkoszulek podkreślający głębię jej oczu.

- Cześć, Panie Czepialski - odezwała się na przywitanie, kierując się do dzbanka z kawą.

- Byłem wczoraj trochę zrzędlivy, przepraszam - przyznał ze skruchą. - Nie chciałem. Złóż to na karb zmęczenia i resztek kaca.

- W porządku, przyjmuję przeprosiny. - Przysiadła obok niego przy stole. Upiła łyk kawy. - Teraz pomogę ci przy szczeniakach, a potem pojedę do miasta - zagała. - Muszę kupić kartki, żeby po wysłać podziękowania za prezenty. Poza tym trzeba uzupełnić zapasy w lodówce.

- Nie ma sprawy. Ale ja płacę za zakupy. - Uśmiechnął się szeroko. - To mój mężowski obowiązek. Wybierz, co potrzeba, i niech obciążą moje konto.

Melanie kiwnęła głową, zaczęła pić kawę.

- Dobrze spałaś? - zagadnął. Był ciekaw, czy zdawała sobie sprawę, że spali przytulenie do siebie.

- Spałam jak zabita - powiedziała. - Chyba nawet nie drgnęłam.

Prawda była nieco inna, ale nie zamierzał tego prostować. Zwłaszcza skoro Mellie nic o tym nie wiedziała. Wypił kawę do dna, podniósł się od stołu.

- To ja się zbieram. Idę do kliniki i biorę się do roboty. - Oplukał kubek i wstawił go do zmywarki. Potem pochylił się i podrapał Kajtka po łebku.

- Pościelę łóżko i trochę tutaj ogarnę, a potem przyjdę do ciebie - powiedziała Melanie.

- Spokojnie, nie musisz się śpieszyć - odparł i ruszył do wyjścia.

Bailey otworzył drzwi kliniki, wszedł do środka. Już od progu powitały go piski i szczekanie. Włączył komputer, przejrzał plan dzisiejszych zajęć. Już na rano ma dwóch umówionych pacjentów. Najpierw malamut Blue. Jego pan przywiezie go na kontrolę i szczepienia. Zaraz po nim mały pomeranian Gizmo, który cztery tygodnie temu złamał łapkę. Po południu

musi pojechać obejrzyć słabowitego cielaka. A na miejscu czekają szczeniaki i koty. Trzeba je nakarmić, obejrzyć, czy żadnemu nic nie dolega. Słowem, jest co robić.

Przejrzał w komputerze karty dzisiejszych pacjentów, potem zabrał się za oględziny szceniąt. Gdy przyszła Mellie, zostawił jej karmienie piesków, a sam zajął się ich badaniem.

Pracowali zgodnie, zżywieniem roztrząsając aktualne wydarzenia z życia miasta. Zawsze im się dobrze rozmawiało. Nigdy się zanadto nie kłócili; jeśli nawet się nie zgadzali, nie przeszkadzało to w wymianie poglądów.

Zakończyli karmienie i oglądanie szceniaków, dyskutując zawzięcie, czy w miasteczku powinny odbyć się wybory nowego burmistrza. Bailey był jak najbardziej za. Naraz na podjeździe rozległ się chrzęst żwiru. Ktoś przyjechał.

- To pewnie Max przywiózł Blue - domyślił się Bailey. Umył ręce, podszedł do drzwi. Melanie podażyła za nim.

Zatrzymał się na progu, zmarszczył brwi. To nie był Max. Drzwi samochodu otworzyły się. Mały chłopiec wysiadł i ruszył w ich stronę. Niósł w rękach pudełko po butach.

- To Jimmy Sinclair - poznała go Melanie. - Chodził do mojej klasy.

- Nigdy nie zajmowałem się ich zwierzętami - powiedział Bailey. - Ciekawe, co go tu sprowadza?

Wyszli ze stodoły i ruszyli w stronę chłopca.

- Cześć, Jimmy - przywitała go Mellie.

- Dzień dobry, pani Watters... to znaczy pani Jenkins - poprawił się chłopiec. - Mama przywiozła mnie tutaj, bo mój Whiskers umarł. Powiedziała, że pan doktor będzie wiedział, co zrobić.

Bailey uśmiechnął się do dziecka, przykucnął obok niego.

- Whiskers jest w tym pudełku? - zapytał.

Jimmy skinął głową. Oczy lśniły mu podejrzenie. Jeszcze mocniej przycisnął pudełko do piersi.

- Mógłbym na niego zerknąć? - zapytał Bailey. Jimmy wahał się przez moment, jakby się zastanawiał.

Wreszcie skinął głową i wyciągnął pudełko w kierunku Bailey'a. Bailey zdjął przykrywkę. Na grubej warstwie serwetek leżał płowy chomik. Był martwy.

Bailey z własnego doświadczenia wiedział, jak bolesna może być strata domowego zwierzęcia. Dlatego już jakiś czas temu przygotował coś w rodzaju cmentarzyka dla domowych ulubieńców. Ludzie, wiedząc, że

ukochane zwierzęta mają swoje miejsce, gdzie można je odwiedzić, łatwiej godzili się z ich odejściem.

Przykrył pudełko przykrywką, podał je chłopcu.

- Mam dobre miejsce dla Whiskersa. Skoczę teraz po szpadel, a ty przez ten czas powiedz mamie, że pójdziemy na krótki spacer.

Jimmy pobiegł do mamy, Bailey zniknął w stodole. Po krótkiej chwili we trójkę ruszyli w stronę pastwiska.

Bailey położył rękę na ramieniu chłopca.

- Długo miałeś Whiskersa? - zapytał.

- Dostałem go, jak miałem sześć lat. Teraz mam prawie osiem - odparł Jimmy. - Wczoraj wieczorem nic mu nie było. Jak się położyłem, to on biegał jak zwykle. W tym swoim kołowrotku - wyjaśnił. - Czasami biegał tak przez całą noc. Jak rano wstałem i podszedłem do klatki, żeby się z nim przywitać, to już nie żył.

Bailey ze współczuciem uścisnął chłopca.

- Coś ci powiem, Jimmy. Chomiki nie żyją bardzo długo. Myślę, że twój Whiskers umarł po prostu ze starości.

- Naprawdę? Tak pan myśli? - Jimmy popatrzył na niego ufnie. - Myślałem, że może popełniłem błąd. Ciągłe się nad tym zastanawiam, ale chyba nic złego mu nie zrobiłem.

- Na pewno nie - potwierdził Bailey. - Jimmy, ja się znam na tych rzeczach. Naprawdę wygląda na to, że Whiskers umarł, bo przyszedł na niego czas.

Jimmy odetchnął z wyraźną ulgą. Melanie uśmiechnęła się do Baileya ponad głową chłopca. Jaki uroczy uśmiech! Starał się nie patrzeć, jak w promieniach słońca jej włosy pobłyskują złociście. Ręce same się wyciągały, by dotknąć tych ślicznych loków.

Minęli zbity gąszcz jeżyn, przeszli obok stawu i dalej szli po łące.

Na końcu łąki rósł niewielki zagajnik. Biały płótek ogradzał spory kawałek ziemi. Bailey uchylił furtkę, przepuścił przodem Melanie i chłopca. Cichutko szumiały liście, drzewa rzucały miły cień.

- To miejsce spoczynku naszych domowych przyjaciół

- odezwał się Bailey. - Tu ich żegnamy. Może chcesz sam wybrać miejsce dla Whiskersa? - zaproponował.

Jimmy rozejrzał się wokół. Na ziemi widniały niewielkie drewniane znaki upamiętniające miejsca pochówku domowych pupilków.

- Może tutaj? - zapytał, wskazując na miejsce u podnóża jednego z drzew.

Bailey jeszcze raz ścisnął ramię chłopca.

- To wspaniałe miejsce dla chomika - oświadczył z powagą. - Czy Whiskers był grzecznym chomikiem? - zapytał, zabierając się za kopanie.

Jimmy wzruszył ramionami.

- Uhm, to był bardzo greczny chomik. - Zawahał się.

- Tylko czasami zdarzało mu się ugryźć mnie za mocno. No i kiedyś wyjąłem go z klatki, żeby posiedział na moim łóżku, a on uciekł i przez cały dzień nie mogłem go nigdzie znaleźć. Moja mama była okropnie zła.

Bailey stłumił uśmiech, odstawił szpadel.

- Chomiki są bardzo ciekawe. Lubią wszystko poznawać - rzekł. - A mamy bardzo się wtedy gniewają.

- No, już ja coś o tym wiem - potwierdził Jimmy. Bailey delikatnie wziął od niego pudełko. Jego uwagi nie uszło, że Melanie położyła chłopcu rękę na ramieniu. Wspiera go w tym trudnym momencie.

- Wyjmiemy go z pudełka i owiniemy w serwetki, dobrze? Jimmy z powagą pokiwał głową, przyglądając się, jak Bailey wkłada chomika do wykopanego otworu.

- Powiem ci coś, Jimmy. To nie jest ostatni raz, kiedy widzisz Whiskersa - rzekł Bailey. - Jak sam pójdziesz do nieba, to Whiskers będzie tam na ciebie czekał.

- I czasem będzie mnie mocno gryźć?

Bailey uśmiechnął się, pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie bój się tego. W niebie chomiki nie gryzą. Może chcesz teraz powiedzieć mu coś na pożegnanie?

Jimmy skinął głową, podszedł bliżej do maleńkiego grobu.

- Do zobaczenia, Whiskers. Prawie zawsze byłeś bardzo grzecznym chomikiem. Spotkamy się w niebie.

Przez chwilę Bailey obawiał się, że chłopiec wybuchnie płaczem. Oczu znowu miał pełne łez. Podniósł je na Bailey'a i skinął głową. Bailey nabrał na szpadel ziemię i sypnął nią w dół.

W drodze powrotnej obiecał chłopcu, że zaznaczy miejsce, gdzie pochowali Whiskersa. I zapewnił, że może przychodzić tu, gdy tylko zechce.

Mellie starała się odwrócić uwagę Jimmy'ego, pytając, co w szkole. Potem pożegnali chłopca i jego mamę. Oczekali, póki samochód nie zniknął w oddali.

Bailey znów ruszył do kliniki, naraz zatrzymał się. W oczach Mellie dostrzegł coś, co go poruszyło.

- Co się stało? - zapytał. Wzruszyła ramionami, westchnęła.

- Przyszło mi do głowy, że to wielka szkoda, że nie chcesz mieć dzieci. Byłbyś wspaniałym tatusiem. - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i poszła do domu.

Półtora tygodnia. Już tyle czasu jest mężatką. Odkręciła kran, by gorąca woda leciała większym strumieniem. Po chwili weszła do wanny pełnej pachnącej piany.

Gdy Bailey skończy pracować i wyszykuje się, pojedą do miasta na kolację. Po raz pierwszy, odkąd są małżeństwem.

Zanurzyła się głębiej. Może gorąca kąpiel przyniesie jej ulgę, pozwoli zobaczyć wszystko w jaśniejszych barwach. Dostała pocztą umowę o pracę. Wystarczy, by podpisała i odesłała ją do szkoły, a od jesieni znów będzie mieć swoją klasę.

I tu zaczyna się problem. Podpisać umowę czy nie? Jeśli wkrótce zajdzie w ciążę, nie powinna brać na siebie takich zobowiązań. Dziecko przyszłoby na świat w marcu. Czyli pełne dwa miesiące przed końcem roku szkolnego. Musiałaby zostawić z kimś maleństwo, a tego nie chciała.

Z drugiej strony, jeśli nie podpisze umowy i nie zajdzie w ciążę, przyjdzie jej siedzieć w domu i przejadać oszczędności odłożone na czas wychowywania dziecka.

Sięgnęła po gąbkę, zaczęła się namydlać. To jeszcze nie koniec problemów. Coraz bardziej zdręzczała się myślą, że jest nimfomanką.

Początkowe obawy zaczynały zmieniać się w pewność. No bo jak inaczej wytłumaczyć tę chęć, by być jak najbliżej Bailey, by ciągle doświadczać tych cudownych doznań, jakie przynosił jej seks? Wyszła z wanny i starannie wytarła się ręcznikiem.

Nie tak miało być. Ustalili cel, a seks był tylko środkiem jego realizacji. Nie było mowy, by czerpać z tego jakąś przyjemność.

A ona znów pragnie jego dotyku, marzy, by być przy nim, czuć bijące od niego ciepło, topnieć w jego ramionach.

Baileya zna od lat. Jak dotąd serce nie biło jej mocniej na jego widok. Czyli to nie chodzi o niego. A jeśli tak, to wniosek jest tylko jeden - po prostu lubi seks. Czyli jest nimfomanką.

Wyjęła beżowe spodnie, dobrała do nich beżowo-szmaragdową bluzeczkę, której jeszcze nigdy nie nosiła.

Miło, że dziś pojedą na kolację. Zawsze lubili wychodzić do restauracji, a już tak dawno nigdzie nie byli. Zapowiada się przyjemny wieczór.

Kończyła układać włosy, gdy do domu wszedł Bailey. Wniósł ze sobą świeży zapach letniego powietrza. Popatrzył na nią uważnie.

- Świetnie wyglądasz - powiedział. W jego głosie dosłyszała nutkę zaskoczenia.

- Niecodziennie się zdarza, że mąż zaprasza mnie na kolację – zaczęła. Uzmysłowała sobie, że w głębi duszy jest na niego zła Dlaczego miał taką zaskoczona minę? - Ubrałam się tak pod wpływem chwili, ale jeśli wolisz, mogę zaraz przebrać się w stare brudne dżinsy i porozciągany podkoszulek.

- Na Boga, Mellie, przecież to był tylko komplement - bronił się. - A ty się zaraz na mnie rzucasz, jakbym powiedział nie wiadomo co. - Ściągnął przez głowę T-shirt.

Widok jego muskularnej klatki podzielał na nią natychmiast. Ledwie się powstrzymała, by nie przesunąć dłonią po jego nagiej skórze. Uświadomienie sobie tych tęsknot poruszyło ją. Od razu przypomniała sobie niedawne rozterki.

- Bailey... - Przysiadła na krawędzi łóżka. - Chciałabym cię o coś zapytać.

- Bardzo proszę. O co tylko chcesz - odparł, siadając na łóżku i pochylając się, by zdjąć buty.

Melanie przygryzła wargi. Zbierała myśli. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć. Wzięła się w garść. To jej najlepszy przyjaciel. Z kim jak nie z nim może podzielić się swoimi wątpliwościami...

- Znasz kogoś dotkniętego nimfomanią?

Z wrażenia zabrakło mu powietrza. Niemal spadł z łóżka.

- Przepraszam, o co pytałaś? Poczula, że się rumieni.

- Przecież słyszałaś.

- Tak, ale nie wierzę własnym uszom.

Teraz płonęły jej nie tylko policzki, ale również szyja.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy takie osoby pod każdym innym względem zachowują się normalnie.

- Mellie, co ty masz za pomysły?! - zawołał, wpatrując się w nią ze zdumieniem. Oczy miał niebieskie jak nigdy.

Zmieszana, odwróciła wzrok. Niepotrzebnie zaczynała ten temat.

- Nieważne, zostawmy to - powiedziała bagatelizująca Bailey roześmiała się.

- No wiesz! Wykluczone. Skoro zapytałaś, to znaczy, że masz powód. Mów, o co chodzi? - Podniosła na niego oczy. Całym wysiłkiem woli wstrzymywała łzy napływające jej do oczu. Bailey ujął jej dłonie w swoje ręce. - Mellie, co się stało?

Chciała się roześmiać, ale zamiast tego z jej gardła wydarł się zduszony szloch.

- Myślę, że jestem nimfomanką!

Wbił w nią zdumione spojrzenie. Po chwili odrzucił głowę w tył i zaniósł się śmiechem. Śmiał się aż do łez.

- To wcale nie jest śmieszne - zaproponowała. Chciała się roześmiać, ale nie mogła powstrzymać łez. - Naprawdę się boję, że to prawda.

Puścił jej dłonie, by otrzeć z twarzy łzy.

- Skąd ci przyszło do głowy coś podobnego? Wyprostowała się. Bała się, że nie zapanuje nad sobą.

- Bo lubię seks. I to bardzo.

- Ja też - odparł, patrząc na nią z rozbawieniem. - Ale czy to znaczy, że jestem erotomanem?

- To znaczy, że jesteś mężczyzną - odparła krótko. Podniosła się. - Zapomnijmy o tym,

- Wcale nie chcę zapomnieć. - Wziął ją za ramię i pociągnął, by znowu usiadła obok niego. Zajrzał jej w oczy, - Wrócimy do tego później - dodał, uśmiechając się. Znowu miał ten dołeczek na policzku.

Wyrwała rękę, skrzyżowała ramiona na piersi.

- Idź się umyć. Tylko się ze mnie nabijasz - rzekła z wyrzutem.

Podniósł się. Na ustach błąkał mu się zmysłowy uśmiech.

- Tylko troszeczkę się z tobą przekomarzam, Mellie, nic więcej - powiedział łagodnie. - Zapewniam cię, że to całkiem normalne i zdrowe podejście. Szczególnie gdy chodzi o seks z takim ekspertem jak ja. - Uchylił się w ostatniej chwili, bo rzuciła w niego zmiętym podkoszulkiem. Zniknął za drzwiami łazienki, ale w sypialni jeszcze rozbrzmiewał jego pogodny śmiech.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Do konkursu piękności pozostał jeszcze tydzień. Jak zwykle miał się odbyć czwartego lipca w Święto Niepodległości jako ukoronowanie zaplanowanych na ten dzień atrakcji. Całe Foxrun już ogarnęła przedsięwzięczna gorączka.

Konkurs o tytuł Miss Mlecznej Krówki miał długą tradycję. Nic dziwnego, że miasteczko udekorowano zabawnymi podobiznami krów - były na wystawach wszystkich sklepów, na okazjonalnych chorągiewkach zdobiących uliczne latarnie, w wielu miejscach na chodnikach stały zrobione z papierowej masy figury krów naturalnej wielkości.

Bailey kilka dni wcześniej umówił się z Tannerem. Chciał przy kawie pogadać ze starym przyjacielem. Nie widzieli się już od dobrych kilku tygodni. Właściwie od czasu jego ślubu z Mellie.

Potrzebował kontaktu z bratnią duszą. Prawdę mówiąc, celowo umówił się z nim na mieście. Czuł, że musi wyjechać z domu, znaleźć się na neutralnym gruncie. Z dala od domu i Mellie.

Jest z nią już ponad miesiąc. Przez ten czas wiele się zmieniło. Chwilami miał wrażenie, że nie jest u siebie. Surowy kawalerski wystrój domu zmienił się nie do poznania. Wszędzie miękkie tkaniny, serwetki na stole, kwiaty i dekoracje. Wieczorami migoczące świece, powietrze przesycone słodkim owocowym lub kwiatowym zapachem.

Kuchnia też stała się inna. Nasycone barwy kontrastowały z białymi blatami, kolorowe serwetki i ściereczki ożywiały przestrzeń.

Najtrudniej było przyzwyczaić się do sypialni i łazienki. Wystarczyło przestąpić próg, a od razu w nozdrza wdzierał się delikatny zapach kojarzący mu się z Mellie. Zapach jej perfum, skóry, włosów...

Jej włosy są takie miękkie, skóra ciepła i gładka jak jedwab. Jest cudowną, zmysłową, pełną pasji kochanką. Czy mógł się tego spodziewać, czy choć przez chwilę mógł wyobrazić sobie, że tak właśnie będzie?

Odepchnął od siebie te myśli. Podjechał przed sklep Tannerów, wypatrzył wolne miejsce na parkingu. Zatrzymał samochód tuż przed wejściem. Popatrzył na wystawę. Przynajmniej tu nie straszy żadna krowa. Całą witrynę zajmowało dziecinne, obite żółtą tkaniną łóżeczko i pogodnie uśmiechnięty miś.

Wysiadł z samochodu. Ze sklepu wyszedł na powitanie Tanner. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Cześć, zaraz do ciebie przyjdę, tylko wyciągnę z auta kilka paczek. Potem napijemy się kawy. - Wskazał ręką na sklep. - Wejdz do środka i przywitaj się z szefową.

Bailey zawahał się. Nie bardzo miał ochotę wchodzić do tego miejsca całkowicie nastawionego na potrzeby malutkich dzieci. Za każdym razem, gdy mimowolnie zastanawiał się nad dzieckiem, które, jak dobrze pójdzie, będzie mieć Mellie, ogarniały go sprzeczne myśli.

Podążył za Tannerem do środka. Od razu owionął go łagodny zapach kojarzący się z kosmetykami dla niemowląt. Colette stała za kasą. Rozmawiała przez telefon z klientką. Na widok wchodzących uśmiechnęła się i pomachała im na powitanie.

- Na chwilę muszę iść na zaplecze - oznajmił Tanner. - Stary, rozgość się, rozejrzyj po sklepie - dodał z uśmiechem i zniknął za drzwiami do magazynu.

Bailey włożył ręce w kieszenie i zaczął przechadzać się wśród porozkładanych towarów. Zatrzymał się przed wyeksponowaną kolekcją niemowlęcych ciuszków. Czy dzieci naprawdę są aż takie malutkie? - zdumiał się mimowolnie. Ostrożnie dotknął palcem maleńkiej sukieneczki ozdobionej delikatną koroneczką. Wyobraził sobie w niej swoją córeczkę.

Jego córeczka.

Będzie mieć burzę płomiennych loczków jak jej mama, czy może po nim odziedziczy ciemny kolor włosów? Jakie będzie mieć oczy? Niebieskie czy zielone? A może zaskakującą kombinację tych dwóch barw? Jaka będzie, gdy trochę podrośnie? Księżniczka czy psotka?

Przeniósł wzrok na miniaturowy strój do baseballu. I znowu pojawiły się kolejne pytania. Jaki będzie jego syn? Czy będzie mu brakowało taty? A jego córce?

- Niesamowite, prawda?

Odwrócił się. Colette stała tuż obok niego.

- Słucham?

Pokazała na maleńki strój sportowy.

- Te wszystkie rzeczy, które dzisiaj robią dla dzieci. Naprawdę niesamowite. Popatrz tylko na to. - Otworzyła szufladę i wyjęła z niej parę markowych bucików do tenisa. Nie były większe od jego palca.

- Aż się nie chce wierzyć - przyznał. - Sklep wygląda super - rzekł z podziwem. - Jak idzie interes? Jest ruch?

Colette rozjaśniła się w uśmiechu.

- Idzie lepiej, niż się spodziewałam. Chyba nieźle trafiłam. Najwyraźniej jest ogromne zapotrzebowanie na rzeczy dla maluchów. A prawdę mówiąc, już się zastanawiałam, czemu ty i Melanie jeszcze tu nie wpadliście.

- Ostatnio byliśmy dosyć zajęci - powiedział.

- Wiem, słyszałam o szczeniakach. Jak się mają te biedne psiaczki?

Bailey uśmiechnął się.

- Jest coraz lepiej. Są zdrowe i świetnie się rozwijają. Przez ostatnie dwa tygodnie udało mi się znaleźć domy dla czterech szczeniaków. A może ty i Tanner też byście przygarnęli małego pieska?

- Czy ja wiem? Pewnie, że bym chciała. Wprawdzie mamy już Bugsy, ale on całe dni spędza na dworze. Miło byłoby mieć małego domowego pieska. Pogadam o tym z Tannerem. - Uśmiechnęła się szerzej. - Widzisz, od wczoraj wiemy, że nasza rodzina wkrótce się powiększy.

W tej samej chwili z zaplecza wynurzył się Tanner. Objął żonę ramieniem.

- Widzę po jej uradowanej minie, że już ci powiedziała, co się święci - rzekł, patrząc na Colette z czułością.

- Zgadłeś. Moje gratulacje. - Poczuł ukłucie zazdrości. Oczy Tannera błyszczały szczęściem. - I kto by pomyślał, że najbardziej zatwardziały kawaler w naszym Foxrun nie dość, że się ożeni, to jeszcze zaraz będzie mieć potomka?

Tanner roześmiał się.

- A kto by pomyślał, że drugi najbardziej zaparty samotnik znajdzie sobie żonę i stanie się przykładowym małżonkiem? - zareplikował Tanner.

Korciło go, by wyjaśnić, że ich sytuacja jest krańcowo różna. Tanner ożenił się z potrzeby serca, kochają się z Colette, będą razem do grobowej deski. On i Mellie to całkiem inna historia. Małżeństwo na papierze, zawarte na czas określony, spełniające oczekiwania obu stron.

- Cóż, myślę, że w życiu każdego mężczyzny nadchodzi moment, gdy dorasta i uświadamia sobie, co w życiu naprawdę jest ważne. Że najbardziej liczy się miłość i rodzina. - Tanner pochylił się i cmoknął żonę w czoło. - Zostawimy cię teraz, skarbie. Pójdziemy z Baileyem na kawę. Musimy sobie trochę pogadać. O szybkich samochodach i jeszcze szybszych babeczkach.

Obaj wybuchnęli śmiechem, gdy Colette dała Tannerowi kuksańca między żebra.

- Idźcie już sobie stąd! - popędziła ich.

Usiedli przy barowym stoliku. Miło było posiedzieć tak jak dawniej, pogadać o starych znajomych, o swoich problemach i planach. Tanner prowadził sporą farmę, szło mu nieźle. Hodował bydło i doskonałe konie.

Omówili perspektywy innych hodowców, podyskutowali o farmach, które zaczęły kwitnąć, choć inne chyliły się ku upadkowi. Powspominali dawne dzieje, pośmieli się z anegdotek i dowcipów.

Bailey był w doskonałym humorze. Zapomniał o prześladowających go myślach, o pytaniach, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Odepchnął od siebie wątpliwości i rozterki.

Jak dobrze pójdzie, niedługo będą z Mellie jedynie przyjaciółmi, a dla dziecka będzie ukochanym wujkiem.

- Wiesz, już nie mogę się doczekać chwili, gdy zakończy się ten kretyński konkurs - powiedział, gdy wyszli z baru i ruszyli w kierunku parkingu.

- Nasza spokojna miejscina dostaje kręcka, co? - zaśmiał się Tanner.

- Żeby tylko to! Ludzie fiksują, mówię ci! Dwa dni temu przyszła do nas Madge Walker. Przyprowadziła ze sobą wnuczkę. To jeszcze mała dziewczynka, ma dopiero dziesięć czy dwanaście lat. Ale już rwie się do walki o tytuł miss. Tak czy inaczej przyszła do mnie, żeby pochwalić się swoimi umiejętnościami. Taka próbka przed prawdziwym konkursem, gdy do niego dorośnie.

- No i? - Tanner zawiesił głos. Popatrzył na kumpla pytająco. Oczy mu się śmiały.

- Nie od razu, jednak się zgodziłem. Nie miałem wyjścia. Wyobraź sobie, że nim się spostrzegłem, ta mała wyciągnęła dwie pochodnie, podpaliła je w kominku i rzuciła w górę. Chyba chciała nimi żonglować. Od razu włączył się alarm przeciwpożarowy, psy zaczęły ujadać jak szalone, a Madge Walkers mało nie dostała zawału.

Tanner wybuchnął śmiechem.

- Wyluzuj się, stary. Pomyśl sobie, że za rok o tej porze już nawet nie będziesz o tym pamiętać.

- Wiem - mruknął Bailey. - Ale mam przecucie, że ten tydzień da mi do wiwatu - rzekł ponuro.

Wsiadł do samochodu, pomachał na pożegnanie i ruszył w kierunku domu. Po drodze znowu przypomniał sobie niedawne wątpliwości. Mellie i jej dziecko.

Być może był naiwny albo dopiero teraz zaczynał uświadamiać sobie pewne rzeczy, ale nie zostawi swojego dziecka, nie opuści go. Nie będzie stał z boku i obojętnie przyglądał się jego życiu. To wykluczone.

Musi poważnie porozmawiać z Mellie. Wy tłumaczyć, że nie będzie biernym obserwatorem, że chce brać udział w życiu swojego potomka.

- Mellie! - zawołał, wchodząc do domu. Nikt mu nie odpowiedział. Przeszedł hol i korytarz, zajrzał do sypialni. Nigdzie śladu żony.

Wszedł do kuchni. Za oknem dostrzegł jakiś ruch. Wyrzwał na ogród. Melanie bawiła się z Kajtkiem. Była w jednej z tych swoich luźnych sukienek. Uciekała przed Kajtkiem, a on gonił ją, ujadając i piszcząc.

Przyglądał się rozbawionej Melanie. Tkanina maskowała jej kształtną sylwetkę, lecz on miał przed oczami jej szczupłe, wdzięcznie wygięte plecy, pełne piersi i długie zgrabne nogi. Słońce złociło jej włosy, buzia promieniała uśmiechem. Wyglądała prześlicznie.

Przepełniło go dzikie pragnienie. Zanurzyć palce w jej splątane włosy, poczuć tuż obok siebie ciepłe, rozkosznie gładkie ciało... wdychać zapach nagrzanego słońcem trawy, łagodny powiew letniego wiatru...

Opamiętał się. Co w niego wstąpiło? Zapomina, że to Melanie? Dziewczyna, z którą od lat się przyjaźni. Nie powinien spodziewać się niczego więcej. Nawet nie powinien próbować.

Intuicyjnie wyczuwał, że nie będzie zachwycona tym, co ma jej do powiedzenia. Pewnie zdenerwuje się nie na żarty. Wybrała go na ojca swego dziecka, bo zna jego zapatrywania na rodzicielstwo. Nic dziwnego, że uznała za rzecz oczywistą, że nie będzie się interesować dzieckiem. Nie będzie ingerować w jego życie, wycofa się i pozostanie jedynie życzliwym obserwatorem.

Im prędzej przejdzie do działania, tym lepiej. Szybciej będą to mieć za sobą. Otworzył drzwi, wyszedł na taras.

- Melanie, musimy porozmawiać - oznajmił bez żadnych wstępów.

Dziewczyna wzięła Kajtka na rękę.

- Hm, to chyba coś poważnego - zauważyła. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mówiłeś do mnie Melanie. Chcesz wejść do domu?

- Nie, możemy zostać na dworze.

Przez chwilę mierzyła go baczny spojrzeniem.

- Poczekaj, odniosę Kajtka do kuchni, żeby nam nie przeszkadzał - powiedziała. - Nie będzie nas rozpraszać.

Weszła do środka. Bailey wyszedł na zewnątrz, usiadł na trawie. Pięknie wyrosła: bujna, intensywnie zielona. Mimowolnie wrócił myślą do dzisiejszej wizyty w sklepie Colette. I w tej chwili nieoczekiwanie uzmysłowił sobie, że dziecko Mellie to nie będzie jakiegoś nieokreślonego „dziecko”.

Melanie wróciła i usiadła na trawie na wprost niego. Wyciągnęła przed siebie długie, szczupłe nogi.

- O co chodzi? - zagadnęła. - Masz bardzo poważną minę. Zupełnie nie pasuje do tego pięknego letniego dnia.

Przez moment nie odpowiadał. Szukał właściwych słów. Nie chciał jej urazić, choć wiedział, że to nieuniknione.

- Jak wiesz, zawsze twierdziłem, że nie chcę mieć dzieci. Popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

- Tylko mi nie mów, że chcesz zerwać naszą umowę.

- Nie, nie chcę jej zrywać - rzekł wyjaśniająco. - Chcę ją tylko nieco zmodyfikować.

Melanie spochmurniała lekko.

- Jak mam to rozumieć?

Odwrocił wzrok. Nie mógł patrzeć jej w oczy.

- Nadal będzie tak, jak się umówiliśmy. Gdy zajdziesz w ciążę, przeprowadzimy rozwód. Zgodnie z planem. Jest tylko jedno ale. Nie zostawię dziecka. Nie mogę tak po prostu od niego odejść. Chcę mieć do niego prawa rodzicielskie.

Popatrzył na nią niespokojnie, bojąc się wybuchu gniewu. Jednak nic takiego się nie stało. Melanie uśmiechnęła się czarująco! Od tego uśmiechu serce zatrzepotało mu w piersi.

- Wcale mnie tym nie zaskoczyłeś - odezwała się miękko. - Spodziewałam się, że tak będzie. Że sam dojdiesz do takiego wniosku.

- Spodziewałaś się? Jak to? Ja sam zrozumiałem to dopiero kilka minut temu.

Melanie podniosła się z trawy. Miły uśmiech nie schodził z jej buzi.

- Bailey, przecież cię znam. Wiem, jakim jesteś człowiekiem. To jeden z powodów, dla których chciałam, żebyś to ty był ojcem mego dziecka. Wiedziałam, że gdy dojdzie co do czego, ty się nie odwrócisz i nie pójdziesz w swoją stronę. Nie jesteś taki A wracając do spraw bieżących... idę do kuchni przygotować coś na lunch. Pójdziesz ze mną?

- Tak. Przyjdę za kilka minut - odparł, nie poruszając się z miejsca. Chciał zostać chwilę sam i zastanowić się, jak to możliwe, że Melanie zna go lepiej niż on siebie.

- Pamiętaj, że mamy spotkać się z moimi rodzicami przy grillu, żeby zjeść razem lunch - przypomniała Melanie, gdy jechali do miasta.

Czwarty lipca wreszcie nadszedł. Dzień oczekiwany przez mieszkańców z takim entuzjazmem i niecierpliwością. Zapowiadała się piękna pogoda. Od samego rana świeciło słońce, na błękitnym niebie nie było ani jednej

chmurki. Bailey wpadł w szampański humor. Jeszcze kilka godzin i będzie po konkursie. Z przyjemnością zapomni o roli jurora.

Melanie też była w doskonałym nastroju. Od dziecka uwielbiała to doroczne święto. Zawsze odbywało się z ogromną pompą. Było wesołe miasteczko, mnóstwo straganów z pysznościami, niezliczona liczba gier i konkursów. A wieczorem zawsze odbywał się pokaz sztucznych ogni.

- Wybory miss zaplanowano dopiero na piątą, czyli praktycznie mamy przed sobą prawie cały dzień - cieszył się Bailey.

Kiwnęła głową, popatrzyła przez okno. Wołała nie zauważać, jak świetnie Bailey dzisiaj wygląda. Jak zwykle miał na sobie obcisłe dżinsy, ale włożył do nich letnią koszulę w niebiesko-srebrne paseczki, podkreślając kolor oczu. Były dziś niesamowicie niebieskie.

Na dzisiejszą uroczystość też ubrała się nieco inaczej niż zwykle. Na wystawie w miasteczku wypatrzyła śliczną letnią sukienkę. Nie mogła się oprzeć, by jej nie przymierzyć. A potem kupić.

Zwykle nie nosiła sukienek w takim fasonie. Była bardziej dopasowana niż te, które miała w szafie. Głęboki pomarańczowy odcień współgrał z kolorem jej włosów i licznymi piegami. Obcisły stan odsłaniał głęboko wycięty dekolt, a krótki, powiewny dół dodawał kobiecości i zalotności. Wspaniale czuła się w tej sukience.

Gdy wyszła z łazienki, Bailey z wrażenia aż otworzył usta. Gwizdnął cicho, oczy mu błysnęły. Nogi zrobiły się jej miękkie jak z waty. Ile by dała, by patrzył tak na nią częściej!

Odrzuciła się w jego stronę. Nucił pod nosem stary przebój o miłości.

- O czym myślisz? - zapytała. Uśmiechnął się wesoło.

- Cieszę się, że przed nami taki przyjemny dzień. -Uwielbiała dołeczek, jaki robił mu się na policzku, kiedy promiennie się uśmiechał. - Lubię to święto. A jeszcze bardziej lubię patrzeć, jak przez cały dzień opychasz się cukrową watą, hot dogami, cukierkami i innymi łakociami, a gdy zaczynają puszczać fajerwerki, jęczysz, że strasznie boli cię brzuch.

- Wcale nie jęczę! - obruszyła się ze śmiechem. Jego uśmiech zgasł.

- Masz rację. - Wbił oczy w drogę przed sobą. - Nie jesteś jęczybułą. - Przez chwilę milczał. - Tak można powiedzieć o mojej mamie, a Stephanie... och, jej nikt by nie przebił. - Melanie milczała, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć. Zawsze miała wrażenie, że jego pierwsza żona to temat tabu. - Ledwie otworzyła oczy, już zaczynała narzekać, że łóżko jest zbyt miękkie, a w pokoju za ciepło. Potem kręciła nosem na śniadanie: że tosty są za bardzo przypieczone, kawa za słaba, a w ogóle to

wszystko byłoby całkiem inaczej, gdybyśmy przeprowadzili się do dużego miasta i zacząłbym pracować jako lekarz.

Melanie wyciągnęła rękę, położyła ją na ramieniu Bailey'a.

- Tak mi przykro.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Bo jesteś moim przyjacielem. Przykro mi, że ci się nie ułożyło. Kochałeś ją. - Nieoczekiwanie poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Odepchnęła je od siebie.

- Znasz stare przysłowie: co nagłe, to po diable. Tak właśnie było. Patrząc z perspektywy, wydaje mi się, że wcale jej nie kochałem. Wpadła mi w oko, zwariowałem na jej punkcie. I nim się obejrzałem, byliśmy po ślubie.

- Jeśli to może być jakieś pocieszenie, to dla mnie łóżko wcale nie jest za miękkie - powiedziała, chcąc rozładować sytuację.

Bailey roześmiał się, popatrzył na nią żarliwie.

- Wiesz, Mellie, byłoby naprawdę super, gdyby każdy mógł mieć takiego kumpla jak ty.

Wiedziała, że miał to być komplement. Jednak nie poczuła satysfakcji. Przeciwnie, zrobiło się jej ciężko na sercu. Nie wiadomo dlaczego.

Dojeżdżali do miasteczka. Już z daleka widać było świąteczne ożywienie.

Odkąd skończyli trzynaście lat i rodzice zgodzili się puścić ich samodzielnie, zawsze wspólnie spędzali to święto.

Zaparkowali samochód. Pierwsze, co zrobili, to ustawili się w kolejce do karuzeli. Tak jak zawsze. Nigdy nie mogli się oprzeć kolorowym konikom. Potem zatrzymywali się przy straganach oferujących świąteczne ciasteczka, a potem ruszali dalej.

Mijali znajomych i sąsiadów, zatrzymywali się, by wymienić pozdrowienia, pogawędzić i pożartować. Wszyscy byli w doskonałym nastroju. Bailey śmiał się serdecznie. Brzmienie tego śmiechu sprawiało jej ogromną przyjemność.

Zgodnie z umową spotkali się z rodzicami Melanie, by zjeść razem lunch. Oczy aż się śmiały do apetycznych, pikantnie przyprawionych żeberek. Góry frytek ociekały tłuszczem. Wszyscy wiedzieli, że to niezdrowe jedzenie, ale w taki dzień nikt nie był w stanie ich sobie odmówić. Wkrótce przyłączyli się do nich rodzice Bailey'a.

Tuż przed piątą wokół sceny zaczęli gromadzić się widzowie. Nadszedł czas próby. Najpiękniejsze panny z Foxrun będą rywalizować o palmę pierwszeństwa, prezentując swą urodę, wdzięk i inteligencję.

Melanie zasiadła w pierwszym rzędzie. Uśmiechała się do Bailey'a, by dodać mu otuchy. Siedział na honorowym miejscu i miał nietęgą minę. Chyba nigdy jeszcze nie widziała go tak spiętego.

Przyglądając się defilującym i popisującym się dziewczętom, w zamyśleniu wróciła myślą do minionych tygodni. Od ponad miesiąca są małżeństwem. Przez ten czas tyle się zmieniło. Poznali się od innej strony, ich więź się pogłębiła. Do przyjaźni doszła bliskość fizyczna. Chwilami czuła się tak, jakby to naprawdę było prawdziwe małżeństwo. Przytulali się do siebie, Bailey obejmował ją, gdy wieczorami na kanapie oglądali filmy. Czasami kładła się, opierając głowę na jego kolanach, a on bezwiednie gładził ją po włosach lub ramieniu. Czuła się wtedy tak błogo, jak nigdy wcześniej.

Wspólne noce nadal przepełniały ją uniesieniem. Często leżeli spleceni uściskiem, rozmawiając ze sobą szeptem, spowici mrokiem i ciszą. Rozmarzyła się, wspominając te tkliwe chwile. Dopiero gdy na scenę weszła SueEllen, wróciła do rzeczywistości. Z rozbawieniem patrzyła na brawurowy taniec, jakim SueEllen chciała podbić jurora i publiczność.

Przez ostatnie tygodnie SueEllen Mika razy próbowała wyciągnąć ją na lunch. Nie zrażała się odmowami. Przestała dzwonić dopiero wtedy, gdy Melanie oświadczyła wprost, że nie ma żadnego wpływu na zdanie męża.

Nieoczekiwanym odkryciem okazała się sliczna Susan Sanforth. Melanie znała ją wcześniej. Robiła wrażenie nieco nieśmiałej, skromnej dziewczyny. Pracowała w sklepie z karmą dla zwierząt. Teraz zaprezentowała się rewelacyjnie. Gdy zaśpiewała, urzekła zebranych anielskim brzmieniem głosu, a na zadawane pytania odpowiadała z zaskakującą bystrością i inteligencją. Nic dziwnego, że to właśnie jej przypadł tytuł miss.

Zapadał zmierzch i wkrótce miał się rozpocząć pokaz ogni sztucznych. Bailey wyjął z samochodu koc. Odeszli dalej, w stronę rosnących na wzgórzu drzew. Mieli swoje miejsce, skąd zawsze oglądali fajerwerki.

- Daj mi znać, gdyby SueEllen podesłała nam jakąś zapiekankę - odezwał się Bailey. - Lepiej jej nie tykać. Może być nafaszerowana arsenikiem.

Melanie roześmiała się w odpowiedzi.

- Gdy ogłaszałeś werdykt, miała taką minę, że raczej nie liczy, że się do ciebie odezwie. A już na pewno nic dla ciebie nie przyrządzi.

- I bardzo dobrze. Ostatnio jej obraz ciągle prześladował mnie we śnie.

Melanie znowu się roześmiała. Wzięła go pod ramię. Przyjemnie było tak razem iść, czuć tuż obok siebie znajomy zapach jego wody przemieszanej z zapachem lata.

Zatrzymali się na niewielkim wzniesieniu porośniętym drzewami. Stąd mieli świetny widok. Bailey rozłożył koc. Usiedli wygodnie obok siebie.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie, żadne z nich się nie odzywało. Słońce już zaszło, gęstniał zmierzch. Drzewa rzucały coraz głębsze cienie.

- Powinnaś częściej wybierać takie sukienki - powiedział Bailey, przerywając ciszę.

Zmarszczyła czoło.

- To znaczy jakie?

- No wiesz, takie jak ta. Takie, które nie ukrywają twojej zgrabnej figury.

Od tych słów zrobiło się jej bardzo przyjemnie.

- Uważasz, że mam zgrabną figurę?

- Taka jesteś łąsa na komplementy? - uśmiechnął się. - Jeśli zaczniesz się inaczej ubierać, nie opędzisz się od zachwyków. Będę musiał odganiać od ciebie facetów.

Roześmiała się, przepełniona dziwną lekkością.

- Trudno zwalczyć stare nawyki. Jak byłam mała, dzieciaki ciągle mi dokuczały. Stale słyszałam, że jestem chudym rudzielcem Dlatego nosiłam za duże sukienki. Wydawało mi się, że w nich nie będę wyglądać jak chudzina.

- Mellie, to było dawno. Dziś nikt tak o tobie nie powie. Patrzył na nią z takim przekonaniem, że po raz pierwszy dotarło do niej, że już naprawdę nie jest tą rudą, piegowaną dziewczynką, z której wszyscy się naśmiewali.

- Fajny był dzisiaj dzień - zagadnęła, zmieniając temat. - I lunch bardzo się udał - dodała.

Bailey spochmurniał nieco.

- Było miło, póki moi starzy nie zaczęli znowu się kłócić. Że też nie mogą ani na chwilę się opanować! Aż mnie skręca, gdy słyszę te ich ciągle zaczepki. Jak to możliwe, że dwoje dorosłych ludzi może tak się szarpać z byle powodu? Skakać sobie do oczu, bo każde ma inne zdanie na temat przyrządzania żeberek.

Melanie uśmiechnęła się.

- Bailey, niepotrzebnie tak to sobie bierzesz do serca. Za poważnie do tego podchodzisz. Przecież z daleka widać, że oni za sobą przepadają. A to przekomarzanie jest tylko formą wyrażania uczuć.

- Możesz tak uważać - rzekł sucho. - Ja mam inne zdanie. Myślę, że to ich ciągle droczenie się wynika z tego, że czują się nieszczęśliwi. Ale teraz

nie chcę się tym zajmować. - Pochylił się i wziął w palce pasemko jej włosów. - Teraz chciałbym się zrelaksować i odetchnąć po tym niemal doskonałym dniu.

- Niemal doskonałym? - zdumiała się. - A czego ci jeszcze brakuje, by osiągnąć pełnię szczęścia?

- Do fajerwerków zostało jeszcze jakieś pół godziny - powiedział, przesuwając palcem po jej ustach. Oczy mu błysnęły.

Z wrażenia zaschło jej w gardle, serce zabiło szybciej.

- Panie Jenkins, co też panu chodzi po głowie?

- Że chętnie bym odrobinę pobaraszkował na trawie z panią Jenkins - rzekł z uśmiechem.

Odszukał jej usta. A w tej samej chwili na Melanie spłynęło olśnienie. Serce w niej zamarło. Bo uświadomiła sobie dwie rzeczy: że kocha Bailey'a. I że jej cykl wydłużył się o więcej niż tydzień.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wieczór pod gwiazdami, wśród syjących się z nieba różnobarwnych iskier... Fajerwerki rozkwitające na niebie, rozjaśniające noc... Nigdy tego nie zapomni.

Uważaj, nim wypowiesz jakieś życzenie. Bo może się spełnić. Ta natrętna myśl kołatała się w jej głowie, gdy drżącymi palcami wyjmowała z torby test ciążowy.

Baileya nie było w domu. Pracował w gabinecie, miał jeszcze kilku umówionych pacjentów. Nie wróci wcześniej niż za jakąś godzinę. Akurat dobrze się składa, że wszystkim zdąży. Nie może dłużej tego odwlekać, już i tak czekała zbyt długo.

Od Święta Niepodległości minął tydzień. Czyli ponad dwa tygodnie po czasie. Pora się przekonać.

Wyjęła test z opakowania. Gdyby można było cofnąć czas, ustalić wszystko na nowo. Gdy tylko zajdzie w ciążę, od razu występują o rozwód. Po co się na to zgodziła?

Gdyby umówili się inaczej... Jednak przez te osiem tygodni małżeństwa Bailey ani razu nie dał do zrozumienia, że chciałby zmienić uzgodnione warunki. Owszem, zapowiedział, że chce mieć prawa do dziecka, lecz na tym koniec. Rozwód jest nieunikniony.

Zrobiła test, oparła się o umywalkę, czekając na wynik. Według instrukcji zabierze to trzy minuty. I wszystko będzie od razu jasne.

Zamyśliła się. Przez ostatnie siedem dni nie myślała o niczym innym niż o Baileyu. Kocha go. I dopiero teraz widzi rzeczy, których wcześniej nigdy nie dostrzegła. Zna go tyle lat. I wszystko wydawało się jej naturalne, po prostu normalne.

Teraz potrafi docenić jego szczery uśmiech, zachwycić się tym uroczym dołeczkiem na policzku. Marzy, by zawsze mieć przed sobą jego niebieskie oczy, tłący się w nich ogień.

Jak to się stało, że nagle wszystko zrobiło się takie skomplikowane? Ani przez chwilę nie brała pod uwagę, że może się w nim zakochać. Że straci dla niego głowę. Ale jak można nie pokochać kogoś takiego jak on?

Łudziła się, ba, była pewna, że skoro tak długo się przyjaźnią, inne uczucia nie wchodzi w grę. Że nic im nie grozi. I nagle ta przyjaźń stała się punktem wyjścia do czegoś bardzo głębokiego.

Pora obejrzeć test. Jeśli jest w ciąży, wskaźnik zabarwi się na różowo. Jeśli nie jest, kolor zmieni się na niebieski.

Wzięła głęboki oddech, popatrzyła na wskaźnik. Jaskraworóżowy prostokącik mienił się jej w oczach.

Mimowolnie przycisnęła dłonie do brzucha. Przepęłniła ją szalona radość. Jest w ciąży! Jest w ciąży z Baileyem.

Nagle ta radość zniknęła tak szybko, jak wybuchła. Jest w ciąży. Czyli ich umowa wygasła. Konkurs się odbył, ona spodziewa się dziecka. A zatem przysłała pora, by zebrać manatki i wracać do domu. To koniec ich małżeństwa.

Może powinna jeszcze odczekać kilka dni i powtórzyć test? Podobno ich wiarygodność nie jest stuprocentowa. Odepchnęła od siebie ten pomysł. Nie będzie dłużej czekać. I nie powtórzy testu.

Nawet jeśli zyska na tym parę dni, to każdy będzie tylko odsunięciem w czasie tego, co musi nastąpić. Co będzie tak samo bolesne teraz i za tydzień.

Weź się w garść, przykazała sobie w duchu. Przecież to jeszcze nie koniec świata, przekonywała samą siebie, pakując do kartonów swoje rzeczy. Będzie jak dawniej widywać się z Baileyem. Znowu będzie tak jak kiedyś. Jak wtedy, gdy nie byli małżeństwem.

Była już prawie całkiem spakowana, gdy na progu stanął Bailey. Popatrzył na ustawione przy drzwiach kartony i walizki, potem na Melanie.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Spakowałam swoje graty - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to lekko. - Cel został osiągnięty, nasza umowa wygasła. Jeśli pomożesz mi zanieść bagaże do samochodu, to zaraz stąd znikam, a ty możesz wrócić do swego kawalerskiego życia.

- Zaraz, poczekaj... - powstrzymał ją. Przeciągnął palcami po włosach, usiadł na kanapie. Nie odrywał od niej oczu. - Powiedziałas, że cel został osiągnięty... Czy to znaczy... czy to znaczy, że jesteś...

- Jestem w ciąży - dokończyła za niego. - Będę mieć dziecko. - Gdy wypowiadała te słowa, po raz pierwszy na głos, przepęłniła ją szalęcza radość. - Zrobiłam dziś test ciążowy i wynik jest pozytywny.

- Mellie - odezwał się miękko. Poderwał się z kanapy i chwycił dziewczynę w ramiona. - O Boże, aż nie mogę w to uwierzyć! Jesteśmy w ciąży!

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Wtulila twarz w jego pierś, zachłystując się znajomym zapachem.

Ciesz się z dziecka, to widać. Wezbrała w niej nieśmiała nadzieja. Może zaraz jej powie, że powinna się rozpakować. Że nigdzie jej nie puści, bo kocha ją nad życie i chce na zawsze być jej mężem.

Wpuścił ją z objęć, wpatrywał się w nią z czułością.

- Mellie, nie musisz już dziś się wyprowadzać. Przecież nie ma pośpiechu. Powoli, przez parę dni, przewieziemy twoje rzeczy, spokojnie się zaadaptujesz.

Cofnęła się o krok. Jak bolesna jest jego bliskość, gdy ma się świadomość, że on jej nie chce. Zgasła w niej resztką nadziei. Gdyby chciał zmienić ich układ, gdyby chciał, by została jego żoną... Miał wymarzony moment, gdyby tylko chciał...

Z trudem powstrzymywała łzy. Nabrała powietrza, odetchnęła głęboko. Nie może pozwolić sobie na płacz, nie powinna czuć złości. Zawarli układ, ma to, czego chciała. To był jej plan.

- Prawdę mówiąc, chcę już wrócić do mojego życia - powiedziała. - Zabrać swoje rzeczy, pojechać do domu i spędzić noc we własnym łóżku.

- Hm, no dobrze... skoro tego chcesz. - Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać. - Wyniesiemy bagaże, załadujemy je i pojedziemy do ciebie. Pomogę ci je wypakować i zanieść do środka.

- Dzięki, ale nie fatyguj się, sama dam sobie radę - rzekła pośpiesznie. Czowała, że musi jak najszybciej znaleźć się z dala od niego, bo jeszcze chwila, a załamie się.

- Nie opowiadaj bzdur - powiedział spokojnie. - Nie chcę, byś przez najbliższe dziewięć miesięcy podnosiła jakieś ciężary. Umówiłaś się na wizytę do lekarza?

- Bailey, no co ty! Dopiero co zrobiłam test. Pod koniec tygodnia zadzwonię do lekarza i umówię się na wizytę.

- Daj mi znać, kiedy to będzie. Pojadę z tobą.

Skinęła głową. .

- Dobrze. Zajmiesz się Kajtkiem? - zapytała. Oczy jej się zamglily na myśl o rozstaniu z tą śliczną drobiną, która od pierwszego spojrzenia całkowicie zawojowała jej serce.

Piesek, słysząc swoje imię, zawarczał z kuchni.

- Jasne, że tak - odpowiedział bez wahania. Wiedział, jak trudno Mellie zdobyć się na pozostawienie pupilka. - Nie martw się, będziesz go przecież widywać. Będziemy spotykać się prawie codziennie, nie mówiąc już o piątkowym oglądaniu filmów.

Melanie znowu skinęła głową.

- Muszę rozejrzeć się za innym mieszkaniem. Żeby był ogródek dla psa. - Podniosła z podłogi najłżejsze pudło. Chciała jak najszybciej mieć to za sobą.

Wyniesienie rzeczy i zapakowanie ich do samochodu zabrało im prawie godzinę. Ruszyli do miasteczka.

- Ale tu gorąco! - zdziwił się Bailey, gdy weszli do jej mieszkania. - Może pootwieraj okna, a ja przez ten czas pownoszę bagaże.

Poszedł do samochodu. Melanie włączyła klimatyzację, otworzyła szeroko okna, by wpuścić świeże powietrze.

To mieszkanie przez ostatnie siedem lat było jej domem. Teraz patrzyła na nie innymi oczami. Wcale nie czuła radości, że znowu jest u siebie. Tylko nieznośny ciężar na sercu.

Oddechnęła, gdy wniósł do domu ostatni karton. Jeszcze tylko musi wytrwać parę minut, nim Bailey pożegna się z nią i wróci do siebie. Bała się, że nie wytrzyma i wybuchnie płaczem.

- No, to chyba wszystko zrobione - odezwał się Bailey. Stał przy wyjściu, wsunął ręce w kieszenie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Oboje nieźle na tym wyszliśmy. Plan się powiódł - powiedziała, nie mogąc doczekać się, kiedy wreszcie pójdzie. - Ja jestem w ciąży...

Bailey uśmiechnął się.

- A ja wywinąłem się rozpalonym pięknościom. - Jego uśmiech zgasł. Wyjął ręce z kieszeni.

Podniósł dłoń i przez chwilę myślała, że może zaraz dotknie jej włosów albo delikatnie pogładzi ją po policzku. Zesztywniała. Nie chciała, by teraz jej dotykał. Bała się, że się załamie.

Oddechnęła z ulgą, bo Bailey opuścił rękę.

- Zadzwońisz do mnie jutro?

- Jasne - odparła. Przecież tak miało być od samego początku. Ich przyjaźń nie mogła ucierpieć.

- No, to porozmawiamy jutro. - Jeszcze przez chwilę stał, jakby coś w duchu rozważał. Potem z ociąganiem wyszedł. Chyba nie chciał zostawiać jej samej.

Za to ona marzyła, by wreszcie zamknąć się w swoich czterech ścianach, zostać sama. Za dużo dziś na nią spadło. Radość, że będzie mieć dziecko. Ból, bo rozstaje się z Baileyem. Musi mieć trochę czasu, by się pozbierać.

- Zadzwonię jutro - powtórzyła i uśmiechnęła się z przymusem. Zamknęła drzwi, przypieczętowując w ten sposób ich rozstanie.

Łzy same cisnęły się do oczu. Celowo zajęła się rozpakowywaniem pudeł. Przez kilka godzin systematycznie ustawiała rzeczy na swoje miejsca. Niech wszystko wróci do dawnego stanu.

Miała nieśmiałą nadzieję, że nikt z sąsiadów nie zauważył jej przybycia. Nie czuła się teraz na siłach, by odpowiadać na pytania. Nawet z rodziną nie

chciała teraz rozmawiać. Jeszcze nie dzisiaj. Jutro pogada z Baileyem, ustalą wspólną wersję.

Gdy skończyła porządki, za oknami zaczął zapadać zmierzch. Poszła do kuchni, zrobiła sobie zupę. Usiadła przy stole, by ją zjeść. I wtedy uderzyła ją cisza panująca w mieszkaniu. Osaczała ze wszystkich stron, dusiła.

Jak inaczej było u Bailey'a! Przy każdym posiłku śmieli się i żartowali, Kajtek powarkiwał spod stołu. Teraz, w przejmującej ciszy, siedzi sama nad talerzem zupy. Żadnego porównania z tym, co było przez ostatnie tygodnie.

Zaczęła jeść, lecz nagle z jej oczu popłynęły łzy. Niby wszystko poszło zgodnie z planem, ma dokładnie to, czego chciała, jednak przez te dwa miesiące tyle się zmieniło. Jej pragnienia się zmieniły.

Teraz nie chce już tylko dziecka Bailey'a... chce jego samego. Chce po przebudzeniu widzieć przy sobie jego twarz, usypiać w jego silnych ramionach. Kochać się z nim, mieć z nim dzieci, razem z nim się zestarzeć. Chce...

Odsunęła talerz od siebie, załkała rozpaczliwie. Łzy, wstrzymywane od rana, płynęły po jej twarzy. Niezdarnie podniosła się od stołu, doszła do sypialni i padła na łóżko. Wtuliła twarz w poduszkę.

Próbowała się uspokoić, ale daremnie. Płakała jak bóbr. Co z tego, że będą się widywać. Że jako ojciec jej dziecka zawsze będzie obecny w jej życiu. I że zawsze będą przyjaciółmi, jak dawniej.

Zaszlochała jeszcze mocniej. To wszystko nie to, to stanowczo za mało. Kocha go. Miłość, której nie planowała, której się nie spodziewała. Która spadła na nią nie wiadomo jak, nie wiadomo kiedy. Ogromny, niedopuszczalny błąd. Bo w głębi duszy doskonale wie, że już nigdy nie będzie tak jak było. Że już nigdy nie zdoła widzieć w nim tylko przyjaciela.

Straciła tego, którego kocha. Ale na tym nie koniec. Straciła najlepszego przyjaciela.

Przebudził się rano, jeszcze przez sen czując znajomy zapach Mellie. Otworzył oczy. W ramionach ścisnął jej poduszkę.

Odsunął ją na bok i usiadł, już całkiem rozbudzony. Czuł złość. Musi zmienić pościel. Przez te dwa miesiące przyzwyczał się do Mellie. Dlatego nie mógł się pozbierać, gdy dziś obudził się bez niej.

Położył się na plecach, wbił oczy w sufit. Jasne smugi światła wędrowały po białej płaszczyźnie. Musi się zastanowić, przemyśleć to, co się stało. Wszystko wydarzyło się tak szybko, tak nieoczekiwanie.

Wyznanie Mellie zaskoczyło go. Jeszcze bardziej jej oświadczenie, że wraca do siebie. Od razu, bez żadnej zwłoki. Nie dała mu dojść do głosu. A potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Pomógł jej załadować bagaże,

pojechał, by je wypakować. Ledwie wrócił, zadzwonił Tanner. Prosił, by natychmiast przyjechał na ranczo, bo źrebi się klacz i są z nią problemy.

Wrócił do domu dobrze po północy. Zdziwiła go nieobecność Mellie, ale jeszcze bardziej poczucie zawodu, jakie go ogarnęło. Chciał podzielić się z nią uniesieniem, jakim przepelniło go przyjsście na świat źrebaka, chciał jej to wszystko powiedzieć.

Przecież nadal mogę to zrobić, pocieszał się w duchu.

Może zadzwonić i zdać jej dokładną relację. Może też zaproponować, by po południu spotkali się w barze na kawę czy hamburgera.

Nabrał animuszu. Wstał z łóżka, ubrał się i ruszył do kuchni, by nastawić kawę.

Kajtek poderwał się na jego widok, witając go radośnie. Jednak tu też było inaczej.

Radosna, kolorowa kuchnia, w jaką przeobraziła ją Mellie, znowu stała się chłodna, bezosobowa, wręcz sterylna. Zniknęły żółte podkładki pod talerze, barwne ściereczki i ręczniczki w śmieszne wzory.

- Tak właśnie lubię. Taka mi się podoba - wymruczał, jakby próbował sam siebie przekonać. Znowu jest u siebie. Kawalerski dom, w jego stylu. Nic, co by go rozpraszało.

Usiadł przy stole, zabrał się za jedzenie. Jednak po kilku minutach podniósł się i włączył radio. Gisza, której nigdy nie zauważał, gdy była tu Mellie, aż krzyczała.

- Tylko ja i Kajtek - powiedział na głos, z przymusem uśmiechając się do tańczącego i wywijającego ogonkiem psiaka. - Pan i jego pies. To mi najbardziej odpowiada.

Przez całe przedpołudnie wmawiał sobie, że jeszcze trochę, a wszystko wróci do normy. Brakuje mu Mellie, bo po prostu się do niej przyzwyczaił. Nałóg, nic więcej. A wiadomo, jak trudno walczyć z nałogiem. Z czasem będzie lepiej.

Do południa zajmował się pacjentami, wreszcie skończył i mógł iść do domu na lunch. Od razu podszedł do sekretarki - niestety, nikt się nie nagrał. Mellie nie dzwoniła.

Był w połowie kanapki, gdy przyjechał zaprzyjaźniony sąsiad, Sam Johnson. Jego myśliwski pies wpadł pod samochód. Wymagał natychmiastowej operacji.

Zapadał zmierzch, kiedy Bailey wreszcie skończył pracę w klinice i mógł wrócić do domu. Neptune, pies Sama, świetnie zniósł operację. Rokowania były pomyślne.

Padał ze zmęczenia, ale jednocześnie czuł się zadowolony i spełniony. Uratował tego psa. Ta świadomość dodawała mu skrzydeł. To miłe zmęczenie, takie najbardziej lubił. I tę radość. Stephanie nigdy tego nie rozumiała. Za to Mellie zawsze.

Zabawne, zamyślił się, stojąc pod gorącym prysznicem. Jak różne były te dwa małżeństwa. Przy Stephanie zawsze miał wyrzuty sumienia i poczucie, że jest nim rozczarowana. Nie opuszczało go przekonanie, że nigdy nie sprostą jej oczekiwaniom. Przy Mellie było zupełnie inaczej. Nie szukał w sobie żadnej winy, miał pewność, że Mellie go ceni i szanuje.

Wyszedł spod prysznica. Znowu sprawdził sekretarkę. Nic, żadnej wiadomości. To go zdziwiło. Usiadł na kanapie, wziął Kajtka na kolana i sięgnął po słuchawkę. Wybrał numer Mellie.

Telefon zadzwonił trzy razy, potem włączyła się taśma. Poczekał na sygnał.

- Mellie, to ja... - zaczął. - Domyślałam się, że wyszłaś. Zadzwoni do mnie, jak wrócisz, dobrze? - Odłożył słuchawkę. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. Co się stało, że przez cały dzień ani razu nie zadzwoniła? Czyżby coś jej wypadło?

Nazajutrz, gdy wrócił z kliniki, na sekretarce migało światelko.

- Bailey - usłyszał głos Mellie. - Dzwonię, żeby cię prosić, żebyśmy na razie nie mówili nikomu o mojej ciąży. Myślę, że tak będzie lepiej. Gdy będą pytać, dlaczego się rozstaliśmy, możemy wyjaśnić, że sama przyjaźń nie wystarczyła. Że się przeliczyliśmy. - Po tym oświadczeniu nastąpiła długa cisza, potem ciche „do widzenia”. I odgłos odkładanej słuchawki.

Zadzwonił do niej zaraz, ale znowu włączyła się taśma. Przez następne dwa dni powtarzało się dokładnie to samo. Ani razu nie zastał jej w domu.

W piątek zaczął się denerwować. Jej milczenie już trochę za bardzo się przedłuża. Przez tyle dni nie zamienili ze sobą ani słowa, nie widzieli się, nie spotkali choćby na kawę.

Zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Liczył, że gdy przyjdzie na lunch, na sekretarce będzie nagrana Mellie. Przecież zwykle spotykali się w piątki, by wspólnie oglądać filmy. Jednak wiadomości nie było.

Co się z nią dzieje? Może źle się czuje? Może ma problemy zdrowotne związane z ciążą? Wmawiał sobie, że pewnie nic się nie stało, że po prostu jest zajęta. Może jeszcze rozpakowuje rzeczy, wieszka ubrania do szafy?

Jednak to do niej niepodobne, by tak długo się nie odzywała. Nawet najbardziej zajęta, znajdowała chwilę, by sięgnąć po słuchawkę i zadzwonić. Zatrzymał się nagle. Coś go tknęło.

To krótkie małżeństwo niczego między nimi nie zmieniło. Co do tego nie ma dwóch zdań. I nawet nie chce myśleć o takiej ewentualności.

Zawarli układ, wspólnie ustalili cele i środki. Uzgodnili, że gdy tylko Mellie zajdzie w ciążę, znowu będzie tak, jak było do tej pory. Nadal będą się przyjaźnić.

Chwył kluczyki do samochodu, ruszył do drzwi. Najwyższy czas, by pojechał do niej i na własne oczy zobaczyć, co się dzieje. Już dawno powinien tak zrobić.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy rozległo się stukanie do drzwi, nie miała najmniejszych wątpliwości - to Bailey. Była tego tak pewna, że nawet nie musiała wyglądać przez wizjer.

- Mellie!

Nie poruszyła się. Nadal siedziała na kanapie. Przez cały tydzień tak tu trwała. Czekala nieruchomo. Może się zniechęci? Może odejdzie, skoro nikt mu nie otworzy? Nie będzie się odzywać. Jest szansa, że sobie pójdzie. Przez cały tydzień zbierała się do rozmowy. I odkładała ją z dnia na dzień. Nie była jeszcze gotowa. Nie miała na to sił. Nie mogła zdobyć się choćby na to, by pogadać z nim przez telefon. Nie mówiąc już, by stanąć z nim twarzą w twarz. Minęło parę dni, a jeszcze się nie pozbierała. Czuje się tak bezradna i słaba, jak tej pierwszej nocy, którą przeplakała na kanapie.

Dopiero po powrocie do domu zaczęło do niej docierać, jak bardzo jest związana z Baileyem. Przecież on od dawna jest częścią jej życia. Tyle że wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Cieszyła się jego przyjaźnią i nigdy nie przyszło jej do głowy, że to może się skończyć, że tak nie będzie wiecznie. I nie potrafiła sobie wyobrazić, jak da sobie radę bez Bailey'a, bez jego uśmiechu, bez jego pomocnej dłoni...

Znowu zastukał do drzwi, tym razem mocniej. Wie, że jest w środku. Widział stojący przed domem samochód. Podniosła się. Nie da się tego odwlekać w nieskończoność, prędzej czy później musi dojść do konfrontacji. Im szybciej będzie to mieć za sobą, tym lepiej.

Ruszyła do drzwi. Wygładziła palcami włosy. Pewnie wygląda jak wiedźma. Trudno. Podeszła do drzwi, otworzyła je. Bailey stał z uniesioną pięścią. Pewnie miał znowu uderzyć w drzwi.

- No, jesteś! - zawołał. - Już zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem się przede mną nie chowasz.

- Przez cały tydzień byłam bardzo zajęta - odparła wymijająco, robiąc mu przejście.

Bailey wszedł do salonu i zasiadł na kanapie. Tak jak to robił miliony razy. Tylko że teraz patrzyła na niego inaczej. Już nie był starym, oddanym kumplem, a mężczyzną, którego kochała. I z którym nigdy nie będzie mogła być. Człowiekiem, który złamał jej serce.

Jak zwykle miał na sobie wyblakłe, obciste džinsy. Widziała zgrabne, wąskie biodra, szczupłe, muskularne nogi. Bawełniany granatowy T-shirt opinał szeroki tors. Odwróciła wzrok. Jedyne, czego teraz pragnęła, to

usiąść tuż obok niego, położyć głowę na jego piersi, zachłysnąć się jego zapachem, znaleźć się w silnych ramionach...

Usiadła na krześle na wprost niego. Musi zachować bezpieczny dystans, wziąć się w garść. Ciekawe, jak długo wytrzyma, jak długo zdoła udawać, że nic się nie stało, że wszystko jest w porządku, tak jak dawniej. Ze bez żadnego problemu wracają do wcześniejszego układu.

- Powiedziałaś, że miałaś taki męczący tydzień. Co takiego robiłaś?

Przecież nie powie mu, że przez cały tydzień snuła się po domu, chodząc bez celu z kąta w kąt, rozpamiętując spędzone z nim chwile, dzień po dniu, minuta po minucie.

- To i owo - odrzekła zdawkowo. Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że choćby się starała, Bailey raczej nie da się zwieść. - Przez kilka dni doprowadzałam mieszkanie do normalnego stanu. Po dwóch miesiącach było sporo pracy. W zasadzie zrobiłam generalne sprzątanie.

- To czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Przecież bym ci pomógł.

Po raz pierwszy od tygodnia Melanie uśmiechnęła się blado.

- Nie obraź się, Bailey, ale mamy nieco inne poglądy na temat porządku.

- No, to przynajmniej bym ci dotrzymał towarzystwa

- nie zrażał się. Niebieskie oczy patrzyły na nią uważnie.

- Przychodzisz dziś do mnie na popcorn i filmy?

- Chyba nie - odpowiedziała nieprzekonująco. Uciekła wzrokiem w bok.

- Czuję się wykończona. Przpracowałam się. Raczej zostanę w domu i pójdę wcześniej spać. - Podniosła oczy. Bailey przyglądał się jej badawczo. - Może spotkamy się w przyszłym tygodniu - dodała pośpiesznie.

Pochylił się ku niej. Patrzył na nią z napięciem.

- Ale wiele wskazuje, że w przyszłym tygodniu też będziesz się czuła za bardzo zmęczona. I że tyle na ciebie spadnie, że przez cały tydzień nie będziesz mieć chwili, by do mnie zadzwonić czy się gdzieś spotkać. Mellie, powiedz mi, co się dzieje? Czy coś się stało?

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Nie miała na to dość sił. Powinna mu powiedzieć. Musi być z nim szczerą, nie może go okłamywać.

- Nie mogę, Bailey. Po prostu nie mogę. - Głos jej niebezpiecznie zadrżał.

- Czego nie możesz? - nalegał.

Niczego się nie domyśla. Nic nie rozumie, zupełnie nic. Ledwie się powstrzymała, by go nie uderzyć. Jak może być taki ślepy? Czy on naprawdę niczego nie widzi, nie czuje, że wszystko się zmieniło, że już nie jest tak jak kiedyś? Naprawdę nie zdaje sobie z niczego sprawy? Nie czuje wypełniającej ją, obezwładniającej miłości?

Ta nagła złość wybuchła i natychmiast się rozwiała, teraz czuła już tylko ból. Wstała z krzesła. Na stojąco będzie jej łatwiej wyznać skrywaną dotąd tajemnicę. Ten największy, bolesny sekret.

- Bailey, nie będę już więcej przychodzić do ciebie na filmy i kukurydzę. Nie będę umawiać się z tobą na kawę, przechadzki czy wspólne pływanie. Nie będę do ciebie wpadać. Nie mogę.

Nie patrzyła na niego. Utkwiła wzrok w obrazie wiszącym nad kanapą, tuż ponad głową Bailey'a.

- Bailey, kocham cię. - Zamiast radości te słowa sprawiły jej jeszcze większy ból. I pograżyły w rozpacz. Powinny być początkiem czegoś radosnego, a oznaczały koniec.

- Ja ciebie też - odpowiedział natychmiast Automatycznie. Przez cały tydzień wyplakała wszystkie łzy. Tak myślała.

Jednak teraz, gdy znowu popatrzyła na niego, obraz był dziwnie rozmazany.

- Nie zrozumiałeś mnie. Bailey, jestem w tobie zakochana. Jego oczy pociemniały raptownie. Nigdy go takim nie widziała. Chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Myślałam, że to się nam uda - powiedziała pośpiesznie.

- Liczyłam, że nie będzie żadnych problemów. Że gdy tylko zajdę w ciążę, znowu wrócimy do wcześniejszego układu, znowu będziemy przyjaciółmi. Pomyliłam się. - Gorące łzy popłynęły jej po policzkach. - Nie mogę, nie potrafię wrócić do tego, co było. Przyjaźń to dla mnie za mało.

Bailey podniósł się z miejsca, oczy błysnęły mu gniewnie. Zmarszczył brwi.

- Mellie, o czym ty mówisz? To nie miało prawa się stać.

- Postąpił krok w jej stronę. - Do diabła, Mellie, nic nie mówiłaś, że coś takiego może się zdarzyć.

Wbiła w niego wzrok, zaskoczona gwałtowną reakcją. Spodziewała się, że nie będzie zachwycony, jednak nie przypuszczała, że wpadnie we wściekłość.

- Nie wiedziałam, że to może się stać - broniła się. - Naprawdę, ani przez chwilę. I naprawdę wcale tego nie planowałam.

- Obiecałaś mi, że między nami nic się nie zmieni - podniósł głos. Był coraz bardziej zdenerwowany. - Doskonale wiedziałeś, że nie mam zamiaru się zenić. Nigdy. Zapewniałaś mnie, że nie będzie żadnych problemów. Że to małżeństwo tylko na chwilę. A potem wszystko wraca do stanu poprzedniego. Co dla mnie było bardzo istotne.

- Nie wydzieraj się na mnie - odparowała, czując wzbierającą w niej złość. - Zachowujesz się, jakbym zrobiła to celowo. A tak nie było. Uwierz mi, proszę - dodała z goryczą. - Skąd miałam wiedzieć, że się w tobie zakocham? To była ostatnia rzecz, jaką potrafiłabym przewidzieć.

Oczy nadal mu lśniły.

- No dobrze, może ci to jakoś przejdzie?

Zamurowało ją. Przez chwilę nie mogła wydusić słowa. Jeszcze nigdy Bailey nie był tak nielogiczny i nieracjonalny.

- Bailey, to nie jest katar czy przeziębienie, które mija samo z siebie. Nie mam pojęcia, czy mi to przejdzie, czy nie.

- Wiesz, to mi się po prostu nie mieści w głowie. Jak mogłaś mi... nam to zrobić.

Zagotowało się w niej.

- Już ci mówiłam, że wcale tego nie chciałam. To się stało samo, niezależnie od mojej woli. Nie mogłam nic na to poradzić, więc przestań się mnie czepiać i zachowywać jak palant.

- Skoro jestem palant, to przestań się we mnie kochać i zacznij znowu się ze mną przyjaźnić.

Najchętniej by go za to walnęła. Jest beznadziejny, gdy chodzi o uczucia. Zupełny głuptas. De by dała, by teraz znaleźć się w jego ramionach, szukać w nich ukojenia! By ją przygarnął do piersi, przytulił mocno...

Nabrała powietrza, odetchnęła głęboko. Siły ją opuściły, czuła się znużona do granic. Oczy nabrzmiały łzami. A więc wszystko przepadło, wszystko stracone.

- Bailey, poczekajmy. Może czas wszystko załagodzi. Sama już nie wiem. Ale niezależnie od tego, jak się sprawy potoczą, będziesz mieć prawa do dziecka.

Jeszcze nie ochłonął. Nadal był zły. Widziała to po jego spiętych ramionach i nerwowym kroku, jakim przemierzał pokój, ruszając do drzwi.

- Czyli nie zostało mi nic innego, jak skontaktować się z tobą, gdy już pogadam z adwokatem na temat rozwodu.

Szarpnął drzwi, wyszedł na korytarz. Odwrócił się jeszcze. Oczy nadal lśniły mu gniewem.

- Gdybym wiedział, jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za tę maskaradę, nigdy bym na to nie przystał.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

Przez długi czas wpatrywała się w te zamknięte drzwi. Łzy płynęły jej po policzkach. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że aż do tej pory tliła się w niej nieśmiała nadzieja, nikły płomynek nadziei.

W skrytości serca jeszcze liczyła, że jej wyznanie otworzy mu oczy. Że nagle go olśni, że nagle zrozumie, iż on też ją kocha. Tak się niestety nie stało. Czekala na słowa miłości. Zamiast tego jest na nią wściekły, bo wszystko popsula, zniszczyła ich przyjaźń.

Od drugiej klasy podstawówki zawsze był przy niej. Chudym, piegowatym, niepewnym siebie rudzielcu. Teraz ma sama iść przez życie, bez Bailey'a. I nie ma bladego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Kotłowało się w nim tyle myśli, że nawet nie próbował ich porządkować. Musi wrócić do siebie, ochłonąć choć trochę. Na razie jest wściekły na Mellie, że się w nim zakochała. I jeszcze bardziej na siebie, że dał się tak zbałamucić, wrobić w to całe udawane małżeństwo i wynikające z tego konsekwencje.

Żałował, że tak na nią naskoczył. Powinien być bardziej opanowany, niepotrzebnie tak się wydzierał. Teraz się tego wstydił. Ciągłe miał przed sobą te śliczne zielone oczy nabrzmiałe łzami, ciągle widział jej drżące wargi. Tak głęboko to wszystko przeżywa, tak bardzo jest jej ciężko.

Za dużo tych uczuć naraz. Złość, gniew, żal... i jeszcze coś. Lek, że na zawsze ją stracił, że już nie będzie częścią jego życia. Lęk i rozpacz.

Ten ostatni tydzień zdawał się nie mieć końca. Tak bardzo brakowało mu Mellie, jej głosu, jej miłej twarzyczki. A okazuje się, że to była jedynie zapowiedź tego, co go czeka. Życia bez niej.

Jasne, że nie straci jej z oczu na zawsze, że będą się widywać, spotykać na mieście, że będzie mieć kontakt z ich dzieckiem. Jednak to już nie będzie to samo. Skończy się ich bliskość i porozumienie, bezgraniczne oddanie i zaufanie. To odejdzie na zawsze.

I co teraz z nim będzie? Nikt nie zna go tak jak Mellie. Nikt go tak nie rozumie. Jak on teraz sobie poradzi? Jak będzie teraz wyglądało jego życie?

Nie wiedział, jak długo jechał, próbując pozbierać myśli i jakoś się uspokoić. Przekonywał się w duchu, że jakoś da sobie radę, że oboje dadzą sobie radę. W końcu byli tylko przyjaciółmi, niczym więcej.

Było parę minut po piątej, gdy podjechał pod dom rodziców. Pora powiedzieć im, jak sprawy stoją. Najwyższy czas oznajmić o separacji z Mellie. Rozmawiał już z nimi wcześniej przez telefon, ale wtedy nie wspomniał, że Mellie się wyprowadziła i wróciła do siebie.

Poza tym musi poodsyłać ślubne prezenty, upchnięte teraz w jednej z wolnych sypialni. Mellie zostawiła mu dokładną listę, co i komu odesłać. Czas się za to wziąć.

Wyłączył silnik, potarł palcami czoło. Zaczynała boleć go głowa przed trudną rozmową. Mellie prosiła, by nikomu nie mówił o ciąży. Szkoda, chętnie by się podzielił z rodzicami dobrą nowiną. Łatwiej by przelknęli tę ich separację.

Westchnął ciężko. Wysiadł z samochodu, ruszył w stronę domu. Wszedł do środka i zatrzymał się, zaskoczony ciszą. Zwykle o tej porze rodzice siedzieli w salonie i oglądali wiadomości.

- Mamo, tato? - zawołał, wchodząc do kuchni. Sądząc po zapachu, chyba niedawno skończyli obiad. Na suszarce obciekały talerze.

Drzwi na taras były uchylone. Podeszedł bliżej. Z dworu dochodził cichy szmer rozmowy i odgłos bujanej huśtawki.

Już miał otwierać drzwi, gdy dobiegł go cichy śmiech mamy. Śmiała się jak młoda dziewczyna, radośnie, zalotnie. Nigdy jej takiej nie słyszał. Potem nastąpiła długa cisza, po niej westchnienie. Zatrzymał się jak wryty.

Gruchają ze sobą jak para zakochanych. Uświadomienie sobie tego poraziło go. Dałby się pokrajać, że jego rodzice serdecznie się nie znoszą, że męczą się ze sobą. A ci ćwierkają ze sobą jak para gołąbków! Czułe słówka i pocałunki w ciepłym blasku zachodzącego słońca.

Wycofał się od drzwi i na palcach wyszedł z salonu. Potem ostrożnie wyszedł na zewnątrz. Bezszelestnie wsiadł do samochodu i powoli ruszył w stronę swojego domu.

Nie mógł się pozbierać. Przez całe lata uważał, że rodziców łączy tylko to nieudane małżeństwo. Złożyli przysięgę, więc nie pozostaje im nic innego, jak męczyć się ze sobą do końca życia. „Kto się lubi, ten się czubi” bezustannie powtarzała mu Mellie, lecz nie chciał jej słuchać. Uważał, że wie lepiej. Że te ciągłe docinki i dogryzania nie mogą być wyrazem miłości, co wmawiała mu Mellie.

Zbywał ją, nie dawał się przekonać: No i ma za swoje. W jednej chwili cały jego świat się zawalił. Najpierw Mellie, teraz rodzice. Wbrew temu, co sądził, kochają się, i ta miłość przetrwała lata.

Zatrzymał się pod domem. Ból głowy, najpierw tylko ćmiący, teraz stawał się nie do zniesienia. Musi wejść do środka. Potrzeba mu teraz ciszy i spokoju. Potrzeba mu... potrzeba mu... cholera, teraz już sam nie wie, czego mu potrzeba.

Dziwne, że do tej pory wcale się nad tym nie zastanawiała i dopiero w czasie tego ostatniego tygodnia uświadomiła sobie, że najbardziej nie lubi

pory zachodu słońca. Kiedy powoli zapada zmrok i nadchodzi ciemność, ale jest zbyt wcześnie, by iść do łóżka. Jak łatwo wpaść wtedy w tę ciemną otchłań rozjaśnianą jedynie nikiącymi błyskami na zachodzie nieba.

A jeszcze gorzej, gdy nie ma się przy sobie przyjaznej dłoni, żadnej bratniej duszy, dodała w duchu, zasiadając przy kuchennym stole. Położyła przed sobą kartkę i długopis, obok postawiła filiżankę z kawą.

Jutro musi koniecznie pojechać po zakupy, nie da się już dłużej tego odwlekać. Przez ostatni tydzień jadła tylko to, co znalazła w spiżarni. Nie chciała wychodzić z domu, obawiała się spotkań ze znajomymi. Teraz, gdy ostatecznie rozstała się z Baileyem, sprawa będzie prostsza. Jeśli ktoś zacznie zadawać pytania, odpowie, że są w separacji i szykują się do rozwodu.

Lepiej powiedzieć o tym teraz. To przetnie ewentualne spekulacje i zamknie buzię ciekawskim. Za parę miesięcy, gdy jej ciąża będzie widoczna, miałyby większe opory.

Jej ciąża. Położyła dłonie na brzuchu, myśląc o rosnącym w nim dziecku. Jest rozżalona i zła na Bailey'a i na to, jak wszystko się potoczyło, jednak nie żałuje. Będzie miała przy sobie część Bailey'a - małą dziewczynkę lub małego chłopczyka. Do kochania i uwielbiana.

Podniosła się i ruszyła do sypialni. Minęła siódma, czyli chyba już może przebrać się w piżamę i iść do łóżka. Wchodziła do sypialni, gdy ktoś zastukał do drzwi.

Chyba nikt nie wie, że wróciła do siebie. Być może ktoś znajomy czy któryś z sąsiadów zobaczył światło i chce sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Pora przygotować się na wścibskie pytania. Niestety, nic na to nie poradzi, musi to przeżyć. Westchnęła. Wolno ruszyła do drzwi. Otworzyła je i z wrażenia zaparło jej dech. Na progu stał Bailey.

- Mówiłaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć, wiem - zaczął bez wstępow.

- Wcale tak nie powiedziałam - sprostowała, zła na siebie, że jej głos zabrzmiał tak słabo i drżąco.

- Mellie, musisz ze mną pojechać.

- Pojechać z tobą? Dokąd? - Nadal mocno trzymała drzwi, jakby podświadomie starała się w ten sposób zagrozić mu dostęp nie tylko do swojego mieszkania, ale także do serca.

- Do mnie. Chodzi o Kajtkę. Przeraziła się.

- O Kajtkę? O Boże! Coś mu się stało?! - zawołała z niepokojem, mimowolnie chwytając Bailey'a za rękę i ściskając go z całej siły.

- Nie, nie stało się nic takiego - odparł pośpiesznie. - Nic bardzo poważnego. Po prostu... nie chce jeść. Myślę, że to z tęsknoty za tobą. Dlatego tu jestem. Gdybyś zechciała przyjechać i pobyc z nim chwilę, może dałby się na coś namówić.

Dom Bailey'a był ostatnim miejscem, w którym chciała się znaleźć. To ponad jej siły. Wspomnienia są takie wyraziste, takie świeże. Ale chodzi o psiaka. Nie może odmówić.

- Dobrze, pojedę do ciebie na chwilę - przystała. - Zaraz będę gotowa. Wezmę tylko torebkę.

Po kilku minutach siedziała w samochodzie obok Bailey'a. Znowu owionął ją znajomy zapach. Ścisnęła ją w środku, natrętne wspomnienia nie dawały spokoju.

Jak wiele się wydarzyło, jak bardzo się zmieniła. Jeszcze nie tak dawno obawiała się, że jest nimfomanką. Lękała się, że nagle wyszła na jaw ciemna strona jej natury. Teraz na tyle rzeczy patrzyła inaczej. I ważny był dla niej tylko ten jeden jedyny mężczyzna - Bailey. Nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek inny mógł go zastąpić.

Zerknęła na niego z ukosa. Bailey prowadził ze wrokiem wbitym w drogę, nucił coś pod nosem. To ją otępiło. Nuci sobie, czyli z całą pewnością chowa coś w zanadrzu. Coś knuje. Zawsze potrafiła domyślić się, czym jest zaabsorbowany. Ale to się skończyło.

Chyba poczuł na sobie jej spojrzenie, bo odwrócił się i popatrzył na nią. Znowu wbił wzrok przed siebie.

- Przepraszam, że wcześniej zachowałem się jak palant - powiedział.

Chciała być na niego zła. Tak byłoby jej łatwiej. Jednak nie potrafiła się na niego gniewać. Nigdy długo nie chowała urazy.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała miękko. - Oboje daliśmy się ponieść.

Po jej słowach zapadła cisza. Żadne z nich jej nie przerwało. Powoli atmosfera stawała się coraz bardziej napięta.

Ktoś powinien się wreszcie odezwać. Czują to, ale sama nie miała nic do powiedzenia. Już wcześniej wyczerpała temat. Widać Bailey też wyrzucił z siebie wszystko, co chciał jej powiedzieć.

Cisza stawała się trudna do zniesienia. Nadal milczeli. Melanie zapatrzyła się w okno. Czują się fatalnie. Wjechali na drogę wiodącą do domu Bailey'a.

Słońce już zaszło, powoli zapadała ciemność. W mroku nawet z daleka jaśniał oświetlony ganek domu. Stała na nim huśtawka. Huśtawka, której nigdy wcześniej tu nie widziała.

Bailey podjechał pod dom, zatrzymał samochód. Melanie odwróciła się, popatrzyła na niego z jawnym zdumieniem. Ciągle miała w uszach jego kategoryczne stwierdzenie. Jeśli kiedykolwiek kupi sobie huśtawkę, będzie to znaczyło, że kompletnie sfiksował.

- Czy ty zwariowałeś? - zapytała cicho.

Bailey wyłączył silnik, odpiął pas. Odwrócił się do dziewczyny.

- Zwariowałem.

- I to dlatego mnie tu przywiozłeś? Żeby mi to pokazać? - Nie miała pojęcia, co miała znaczyć ta huśtawka. Po co ją kupił? Czy to jakaś idiotyczna próba przeproszenia za wcześniejsze zachowanie? Czy może równie beznadziejny sposób wywarcia na niej presji i przekonania, by znów byli przyjaciółmi?

- Usiądźmy tu sobie na chwilę, pobujajmy się. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia - rzekł.

Czy on naprawdę jest taki bezduszny i nieludzki? Czy nie zdaje sobie sprawy, ile ją to kosztuje? Marzyła, że kiedyś oboje będą siedzieć na takiej huśtawce i patrzeć na bawiące się przed domem ich dzieci. Że tu będą spędzać wieczory, rozmawiając o minionym dniu, o tym, co do siebie czują. Czy on naprawdę się tego nie domyśla?

Z ciężkim sercem ruszyła za nim na ganek. Bailey poczekał, aż dziewczyna usiądzie wygodnie, potem sam usiadł obok niej. Czowała bijące od niego ciepło, dotyk mocnego, muskularnego ciała.

- Mellie - zaczął Bailey. - Po wyjściu od ciebie przemyślałem wiele rzeczy. Jeździłem samochodem, sam nie wiem nawet jak długo. Nie mogłem sobie darować, że stało się tak, jak się stało. Aż mnie skręcało ze złości. - Zamyślił się, zaczerpnął powietrza. - Potem pojechałem do rodziców. Zdecydowałem, że nie ma co dłużej przed nimi ukrywać prawdy. Postanowiłem powiedzieć im, że jesteśmy w separacji. - Nie patrzył na nią, tylko w ciemność przed domem.

- I co oni na to? - Domyślała się, że ta decyzja nie przysłała mu łatwo. Ją też czeka podobnie trudna rozmowa z własnymi rodzicami.

- Nie rozmawiałem z nimi. - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Gdy wszedłem do domu, nie było ich w środku. Byli na tarasie. Siedzieli na huśtawce i ćwierkali do siebie jak para nastolatków.

Była w złym nastroju, jednak słysząc to, zachichotała wesoło. Sama była zaskoczona swoją reakcją.

- Zebrało im się na amory? Bailey uśmiechnął się blado.

- W życiu bym na to nie wpadł. - Jego uśmiech zgasł. Przeciągnął palcami po włosach. - Wszedłem po cichutku, nim się spostrzegli, że ktoś

przyszedł. Nie mogłem się pozbierać. Dopiero wtedy do mnie dotarto, że oni się nadal Kochają.

- Przez całe lata wbijałam ci to do głowy, ale nie chciałeś słuchać - podsumowała z lekką drwiną.

- To prawda. Dziś mnie olśniło. Moi starzy czasem skaczą sobie do oczu, ale potem znów jedzą sobie z ręki. Przyjaźnią się i Kochają.

Spięła się wewnętrznie. Do czego on zmierza? Czyżby, poza rozwodem, miał jakiś inny pomysł? Na przykład, by byli nie tylko przyjaciółmi, ale też Kochankami?

- Bailey, jeśli sądzisz....

- Poczekaj, daj mi skończyć. Mellie, weź na wstrzymanie. Zawsze gdy człowiek ma ci coś ważnego do powiedzenia, zaczynasz go rozpraszać i zbaczać na inne tematy.

Uśmiechnął się do niej tak, że zrobiło się jej ciepło na sercu.

- Pamiętasz, jak zawsze uważałem się, że jestem jedynakiem? Każdy powinien mieć rodzeństwo - ciągnął. - Nie chcę, by moje dziecko nie miało brata czy siostry.

- Bailey, teraz ty się streszczaj, bo gadasz jak baba w maglu - parsknęła Melanie. - Może mi wreszcie powiesz, po co mnie tu przywiozłeś.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Gdy tu przyjechaliśmy i zobaczyłaś huśtawkę, powiedziałem ci, że zwariowałem. Bo to prawda. Wariuję na myśl, że miałbym żyć bez ciebie.

Ujął jej rękę i uściśnął z czułością.

- Przypomniałem sobie wszystkie lata, które przeżyliśmy razem. Znamy się od tak dawna. Jeśli czasem czułem się smutny czy samotny, zawsze rozglądałem się za tobą. Gdy byłem szczęśliwy, też.

Nie odrywała od niego oczu. Ta Kochana twarz, niebieskie oczy... Serce biło jej jak szalone. Z drżeniem czekała, co teraz jej powie. I po raz pierwszy wolała nie domyślać się, do czego on zmierza. Lękała się.

- Na rozdaniu dyplomów to twojej twarzy szukałem w tłumie, nie Stephanie. Choć była moją dziewczyną. Ale dla mnie to twoja piegowata buzia była najważniejsza.

Puścił jej rękę, pogładził ją po policzku.

- Moja mała Mellie. Dziś otworzyły mi się oczy. Kocham cię. Od drugiej klasy podstawówki. Nie chcę żadnego rozwodu. I nie chcę żyć ani minuty z dala od ciebie.

Patrzyła na niego oniemiała. Bała się, że może słuch ją myli, że to nie dzieje się naprawdę.

- Bailey, jeśli to jeden z twoich głupich dowcipów, to nigdy ci tego nie daruję - wydusiła wreszcie.

- Czy ja ci kiedyś robiłem głupie dowcipy? - obruszył się, robiąc urażoną minę.

- A jak w szóstej klasie potajemnie włożyłeś mi do kanapki gasienicę i założyłeś się z Mikiem Moore'em, że ja zjem moją szybciej niż on? Na szczęście w porę się spostrzegłam i nie przełknęłam pierwszego kęsa.

Bailey uśmiechnął się pogodnie.

- No dobra, tak było, ale dawno temu, gdy byliśmy dziećmi. - Spowaźniał, oczy mu pociemniały. - Mellie, już nie jesteśmy dziećmi. Chcę być twoim przyjacielem, ale nie tylko. Chcę być twoim mężem. Snuć z tobą plany na przyszłość, siedzieć wieczorami na huśtawce, budzić się przy tobie.

- Bailey, jeśli mnie zaraz nie pocałujesz, to chyba umrę! - zawołała.

Odszukał jej usta, przygarnął do siebie mocno. Topniała w jego ramionach, umierała ze szczęścia.

Potem, gdy już odsunął się od niej, popatrzyła na niego z powagą.

- Bailey, ale to nie z powodu dziecka? Muszę wiedzieć. Może chcesz być ze mną, byśmy mieli jeszcze jedno dziecko, bo nie chcesz mieć jedynaka?

- Moja Mellie! Jest tylko jeden powód: miłość. Tylko dlatego pragnę tego małżeństwa. Prawdziwa, głęboka miłość. Kocham cię. Jesteśmy sobie przeznaczeni, przecież wiesz.

Skinęła głową. Przepelniało ją tyle uczuć, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Myślę, że byłem w tobie zakochany już wtedy, gdy w piątej klasie sprawiłem lanie Harleyowi Raymondowi.

Melanie roześmiała się, potrząsnęła głową.

- To raczej on stłukł cię na kwaśne jabłko. Ale to nieważne, liczy się intencja.

Ujął jej buzię w obie dłonie, patrzył na nią z ciepłym uśmiechem.

- Nie, Mellie, liczy się miłość. A ja chcę kochać cię do końca życia.

Uwielbiała jego pocałunki. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się mocno.

- Kocham cię, Mellie - wyszeptał.

- Ja też cię kocham - szepnęła.

Bailey wstał nieoczekiwanie, chwycił ją na ręce.

- Co ty robisz? - zdumiała się.

- To, co powinienem zrobić dwa miesiące temu - odparł.

- Są rzeczy, których należy się trzymać. Czuję, że jeśli teraz przeniosę cię przez próg, to będzie znaczyło, że nasze małżeństwo jest naprawdę i na zawsze.

Naprawdę i na zawsze. Te słowa przepełniły ją niewiarygodnym szczęściem.

- Wiesz, Bailey, konkurs miss już się zakończył i nie jesteś jurorem, ale gdy tak na mnie patrzysz, czuję się jak prawdziwa królowa piękności.

Bailey zaśmiał się. Oczy mu błyszczały.

- Jedno jest pewne - jesteś królową mojego serca. Na zawsze.

Pchnął drzwi i przeniósł swą żonę przez próg.

RS

RS